Wspomnienia z dzieciństwa.

Połowa talentu pedagogicznego polega na tym, aby rozumieć dzieci. Większość błędów, które nazywamy zwykle nietaktem, czasem niesprawiedliwością—płynie właśnie z niezrozumienia nastroju dziecka w chwili, gdy występujemy wobec niego w roli wychowawcy, korektora. Większość również domowych i szkolnych konfliktów między starszym a młodszym pokoleniem w tym niezrozumieniu bierze początek. I dziwna, zaiste, że wszystkie te objawy tak częste, gdy na pozór wydawałoby się rzeczą wielce łatwą i pospolitą wniknięcie w duszę wychowywanego przez nas dziecięcia.

Po pierwsze; nie ulega najmniejszej wątpliwości, że życie psychiczne dziecka jest znacznie prostsze, znacznie mniej skomplikowane, niż psychika istoty dorosłej. Między podnietą a reakcją zewnętrzną droga jest znacznie krótsza i nie przechodzi przez tyle skrzyżowań, wahań, namysłów i hamulców. Słowo bywa znacznie częściej bezpośrednim wyrazem myśli, a czyn bezpośrednim wyrazem popędu. Nawet dziecięce fałsze i chytrości są dla wytrawnego oka naiwnie przezroczyste, w porównaniu z wyrafinowaną obłudą, lub wytrawną skrytością dorosłych.

Po drugie—i to najważniejsze — dla zrozumienia

jakiegokolwiek nastroju drugiej osoby niezbędne nam jest porównanie, możność zestawienia z własnemi stanami duszy.

Otóż o ile dzieciom trudno jest zrozumieć dorosłych, gdyż poprostu do ich psychiki nie posiadają klucza, o tyle dorośli powinni umieć pojąć dzieci. Przecież każdy z nas był kiedyś dzieckiem.

Dlaczegoż tak rzadko przychodzi nam to na myśl, gdy przestajemy z dziećmi i młodzieżą? Kto wie? może warunkiem umiejętnego postępowania z niemi jest po prostu—dobra pamięć?

Wspomnienia z lat dziecięcych powinny być przedmiotem specjalnych studjów dla pedagogów, studjów obowiązkowych, „Poznaj sam siebie“—owo kardynalne przykazanie mądrości greckiej ma tu niezmiernie doniosłe zastosowanie. W sobie samych najczęściej szukać winniśmy klucza do rozstrzygnięcia zagadek, nastręczających się w obcowaniu z młodemi duszami.

Wewnętrzna obserwacja nie jest wprawdzie wystarczającym czynnikiem badań psychologicznych, jest jednak zawsze niezbędnym czynnikiem nawet przy zastosowaniu innych środków. Prawdopodobnie wszystkie objektywne metody psychologiczne byłyby bezsilne, gdybyśmy nie interpretowali dostarczanych przez nie danych przez pomocnicze zastosowanie metody subjektywnej. Człowiek, któryby sam nigdy nie śmiał się i nie płakał, nie byłby w stanie rozumieć śmiechu i płaczu innych. Jak „ślepy o kolorach“ mówić nie może, tak i człowiek, dla którego pewna sfera wyobrażeń i odczuwań jest niedostępną, nie mógłby danej sfery uczynić przedmiotem swych badań naukowych.

Nauczyć się pewnego kursu psychologji i zdać z niego egzamin, to nie znaczy jeszcze być zdolnym do samodzielnego opanowania tej gałęzi wiedzy, wy-

snuwania z niej wniosków dla życia i bogacenia jej faktami z życia czerpanemi.

O tym, jakim kto jest psychologiem [1]), a jeszcze w wyższym stopniu pedagogiem, rozstrzyga kwestja, jakim jest człowiekiem. Im natura wielo-stronniejsza, bogatsza, im życie nastręczyło więcej różnorodnych wrażeń i doświadczeń, nietylko zewnętrznie postrzeganych, ale odczutych i przeżytych; tym szerszą sfera psychologicznych uświadomień, a wraz z nią i zakres współczucia.

Dzieci chcą być rozumiane; wdzięczne są, gdy sami odgadujemy to, czego powiedzieć nie mogą, nie umieją lub nie śmią. Tu należy zastosować radę poety: „Wer den Dichter will verstehen, muss in Dichter's Lande gehen.“ Kto dziecko chce zrozumieć, musi się przenieść w świat dziecka. Cofnąć się myślą do własnego dzieciństwa, staje się wtedy równie pouczającym jak miłym zadaniem, szkołą sprawiedliwości i wyrozumiałości. Starsi lubią nieraz wobec dzieci dla utrzymania swej powagi blagować na punkcie swej młodości, a czasem stawiać siebie za wzór, wpajając w młodzież mniemanie, że jej wady i wykroczenia nie są czymś zwykłym, do wieku przywiązanym, lecz rzeczą niebywałą, która nigdy zdarzać się nie powinna, i o którą posądzać wychowawców byłoby karygodnym zuchwalstwem. Z czasem młodzi uczą się ze sceptycyzmem przyjmować te zapewnienia, na czym zaiste wpływ starszych nie zyskuje. Na tle tej blagi powstają później różne indywidualne zbiorowe autosuggestje,

---

[1]) Dla uniknienia możliwych nieporozumień wyjaśnimy, że autorka używa tu stale wyrazów „psychologja“, „psycholog“ w znaczeniu potocznym, jako rozumienie cudzych stanów wewnętrznych; nie zaś w znaczeniu ściśle naukowym, jako wiedzę ogólną o zjawiskach psychicznych.

(*Przyp. Red.*)

wspominanie „dawnych czasów“ jako raju cnotliwości, narzekanie na „dzisiejszą młodzież“ jako moralnie zwyrodniałą i wykolejoną.

Żal za minioną młodością własną łączy się czasem z pewną nieświadomą zawiścią względem tej młodości, która nas otacza, a od której wymagamy starych cnót, starej wytrawności, wstrzemięźliwości, rozwagi. Ciągłym zaznaczaniem swej wyższości tłumimy poprostu czasem gorzkie poczucie wciąż wzmagającej się martwoty i niemocy, pierwsze zwiastuny starości duchowej.

Z lat dziecięcych i młodzieńczych pozostaje nam w duszy tylko mglisty obraz siły i pełni życia, tylko jedno wielkie westchnienie, a ten wyłącznie liryczny ton fałszuje nasz sąd i pozbawia go przedmiotowości.

Gdybyśmy natomiast zamiast ogólnie wspominać dzieciństwo i młodość, jako swoje dobre czasy, przywoływali jaknajczęściej do pamięci *fakty* z tych lat, własne postępki i odpowiadające im nastroje, a następnie oceniali je z możliwą bezstronnością i porównywali z analogicznemi faktami z życia naszych dzieci lub naszych wychowańców, wiele rzeczy wyjaśniłoby się nam. Nieraz mielibyśmy stąd bardzo pocieszające wnioski o wyższości tych dzieci nad nami, o względnej nieszkodliwości wad w nich dostrzeganych, czasem czulibyśmy dla nich szacunek, a zawsze zwiększony stopień współczucia.

Mówimy wiele o szczęśliwym dzieciństwie, o raju młodości. Mówimy tak, gdy patrzymy na ten wiek przez mgłę późniejszych rozczarowań i goryczy do odległej perspektywy minionych lat. Jeśli jednak zdołamy wskrzesić w pamięci te straszne wybuchy bólu, oburzenia, rozpaczy, do jakich tylko świeża dziecięca lub młodzieńcza uczuciowość jest zdolną, wybuchów,

wywoływanych nieraz drobnemi przyczynami lecz subjektywnie bynajmniej przez to nie słabszych, ani mniej dotkliwych, wyleczymy się z ich bagatelizowania. Takie bagatelizowanie drażni i rani młode serca, a bynajmniej nie koi doznawanego przez nie bólu. Z wyżyny swego wieloletniego doświadczenia winniśmy hamować i łagodzić te duchowe przejścia, ale na to, by skutek odpowiedział usiłowaniom, musimy je najprzód w całej pełni odczuć i zrozumieć. Zamiast drażniących pryszniców zimnej wody w postaci lekceważącego śmiechu lub niecierpliwego gderania, przyjacielska, poważna pogawędka, wzajemne zwierzenia, poddanie lekarstwa, które i nam na to samo pomogło, t.j. przytoczenie z własnych wspomnień bólów, które przeminęły—będzie dla młodych gorących dusz najlepszym moralnym ukojeniem.

Niech zawsze w pamięci naszej będą przytomne te tortury moralne, jakich w dzieciństwie naszym doznawaliśmy pod wpływem strachu, gorycz bezbrzeżna, jaką nas napawała zraniona lub upokorzona miłość własna, gwałtowny bunt wobec wszelkiej rzeczywistej czy mniemanej niesprawiedliwości — a troskliwie czuwać będziemy nad tym, by lekką miękką ręką młode dusze kierować.

Wskrześmy tylko w pamięci naszej fakty najbardziej krzyczących wykroczeń z lat młodych i towarzyszące im nastroje duszy, tę dziką nieświadomość popełnionego zła, ten niezmącony spokój sumienia lub szaloną pustotę, z jaką dopuszczaliśmy się rzeczy zdrożnych z punktu widzenia dojrzałej etyki, a unikniemy zbyt pośpiesznych i surowych wyroków, gdy przyjdzie nam sądzić winy małoletnich.

Zestawmy różne okresy naszego dzieciństwa i młodości, zmiany, a nawet przełomy w upodobaniach, skłonnościach, uzdolnieniach, zwłaszcza w bu-

rzliwym okresie dojrzewania — a nauczymy się cierpliwie śledzić i obserwować różne niespodzianki wychowawcze, a zamiast zdumiewających odkryć lub gorzkich zawodów widzieć w nich wprost ciekawe metamorfozy, wiodące do pełni rozwoju.

W szczególności rodzicom zalecam takie stałe zestawianie własnych wspomnień z życiem swoich dzieci. Dziedziczność skłonności i cech psychicznych stanowić dla nich będzie ogromne ułatwienie, a zarazem wielki urok tego zadania. Dzieci same nasuną im mnóstwo reminiscencji z minionych dni, a śledząc kolejne fazy ich rozwoju, przeżywać będą na nowo własną młodość w zmienionych warunkach. Bliższa obserwacja wykaże im mnóstwo podobieństw całkiem niewidocznych skutkiem różnicy wieku. Moja córka może mi się wydawać całkiem niepodobną do mnie, jeśli młodziutką pensjonarkę porównywam do dojrzałej, zmęczonej życiem kobiety. Ale gdy sobie uprzytomnię własne szkolne lata, dostrzegę w niej nieraz odbicie mojej duchowej fizjognomji tylko na nowym tle, w nowym otoczeniu, zwiększone, zmniejszone— niekiedy może nawet już udoskonalone.

Do najponętniejszych dla dzieci tematów pogawędek rodzinnych należy dzieciństwo i młodość ich własnych rodziców. Mama, która im opowiada, jakie miała lalki, czym się bawiła, jak odrabiała lekcje, jakie i za co otrzymywała napomnienia, jakie płatała figle i jakie roiła marzenia—staje im się bliższą, droższą—niby dokładniej, poufniej znaną istotą.

Czy matki umieją tak rozmawiać ze swemi dziećmi? A jednak właśnie taka rozmowa potęguje jeden z najcenniejszych czynników wychowawczych—wiarę w siebie i siły własne. Świadomość, że ci mądrzy, wytrawni kierownicy, a zaufania i szacunku godni

wychowawcy, co im dziś błędy wytykają i drogę wskazują, byli niegdyś małymi łobuzami, trzpiotami, psotnikami lub niedołęgami podobnymi im i ich rówieśnikom, że ówcześni starsi gderali zupełnie tak samo jak dzisiejsi na nich — podnosi ich świadomość własnej wartości, wznieca ambicję, chroni od zniechęcenia w niepomyślnych chwilach. Gdy my rozmawiając z dziećmi, cofamy się w przeszłość, one na skrzydłach naszych wspomnień tęsknotą i nadzieją mkną w przyszłość, przeczuwaną i upragnioną. Ich i nasze życie przedłuża się i bogaci.

W końcu jedna jeszcze uwaga już nie z praktycznego lecz z naukowego punktu widzenia. Przypuśćmy, że możliwie dokładne spisywanie wspomnień z dzieciństwa staje się powszechnym lub co najmniej bardzo częstym, w instytutach pedagogicznych obowiązującym zwyczajem. Jakiż to bogaty materjał do spostrzeżeń psychologicznych, zwłaszcza gdy te pamiętniki zestawimy z życiorysami i portretami psychicznemi autorów!

Jak wielką lukę w naszych badaniach psychologicznych stanowi to, że dotyczą one albo dzieci, o których dalszym rozwoju nic nie wiemy, albo ludzi dorosłych, których dzieciństwo jest nam zupełnie nieznane!

Ile ciekawego materjału do psychologicznych odkryć ukrywa się przed naszym okiem skutkiem tego, że życiorysy wielkich ludzi obejmują tylko epokę ich działalności twórczej, t. j. pełni dojrzałości, a niemal zawsze przemilczają cały tak ważny okres przygotowawczy, podając z niego mało co więcej nad datę i miejsce urodzenia, oraz szematyczne dane o otrzymanym oficjalnie wykształceniu! Najciekawszym jednak byłby szereg pamiętników, dotyczący osobników

jednej rodziny a różnego pokolenia. Fantazja Zoli wysnuła całe drzewo genealogiczne dziedziczności psychicznej. Może rzeczywistość i w tym wypadku jak w wielu innych okazałaby się bogatszą niż fantazja? Może ujawniłaby niby szereg wcieleń się jednej i tej samej duszy w następujących po sobie pokoleniach, przeobrażającej się wedle ducha czasu? To miałoby nawet już znaczenie historyczne.

Iza Moszczeńska.

Ruch kulturalno-oświatowy na Litwie i Białej Rusi.

Królestwo Polskie nie znajdowało się nigdy pod względem swego rozwoju kulturalnego w położeniu Litwy,—gdyż w każdym razie miało ono zawsze do swego rozporządzenia prasę, prasę miejscową—umożliwiającą rozejrzenie się w swych potrzebach i brakach, miało też możność wydawania podręczników, bodaj do nauki domowej służących, i miało uczelnię wyższą, a z nią dopływ sił młodych — wytwarzających nowe kierunki, wytyczne drogi ku kroczeniu w przyszłość...

Co innego na Litwie,—tu zastój i cisza, martwa powłoka, kryjąca spopielałe zgliszcza... dostęp do światła,—nie wiedziano na razie, do czego się wziąć najpierwej, co pilniejsze, co potrzebniejsze społeczeństwu?...

A trudność potęguje się tym położeniem etnograficznym kraju, które z Litwy i Białej Rusi czyni *konglomerat narodowości* — żyjących obok siebie, mających często wspólne, ale często też i rozbieżne zadania do spełnienia i różne związane z tym aspiracje i cele.

Tu razem mieszkają: Litwini i Polacy, Białorusini,

Łotysze, Żydzi, Niemcy, Rosjanie a nawet od czasów Witoldowych osadzeni koło Trok i w Oszmiańskim— Tatarzy. Dzieli ich wyznawana wiara i odrębny język;—podobieństwo języków słowiańskich umożliwia Polakom porozumiewanie się z Białorusinami, Żydzi poza gwarą żargonową dla względów handlowych, znają i język polski, chociaż kulturalnie pogarnęli się raczej do Rosjan, hołdując ich literaturze, lecz z Litwinami porozumienie jest najbardziej utrudnione. Ich język jest bardzo trudny i dla ich etnograficznych sąsiadów całkiem niezrozumiały.

O ten to właśnie szkopuł rozbija się głównie usiłowanie utrzymania dawnej spójni między Polakami a Litwinami.

Inteligientni Litwini, wszyscy prawie znają doskonale język polski, nawet ci, którzy hołdują poglądom szowinistycznym,—inteligientny zaś Polak w celu porozumienia się bezpośredniego z Litwinami, zmuszony jest dopiero do uczenia się ich języka, języka zaledwie kształtującego się literacko. Sami Litwini przyznają, że język litewski, dziś przez ich pisarzy w piśmiennictwie używany, jest całkiem odrębny od języka litewskiego ludu—języka potocznego. Język prasy litewskiej nie przez wszystkich Litwinów jest rozumiany, trzeba go studjować dopiero z nowym słownikiem w ręku.

Ta trudność porozumienia się językowego uniemożliwia więc stanowczo Polakom bywanie na litewskich zjazdach, posiedzeniach, należenie do ich stowarzyszeń i t. p.

Toczy się też głuchy, tajony spór o Wilno.

Jest ono stolicą Litwy prastarą, ale tej Litwy, która przed wiekami zawarła ścisły, pobratymczy sojusz z Polską i odtąd historyczne warunki wytwarzają zeń ostoję dla polskiej kultury, zogniskowanej w mieście, rozlewającej się dalej szeroko po siedzibach i za-

grodach szlacheckich, gdy rdzenna litewskość chroni się w zapadłej, głuchej wsi i przebywa tam niezmiennie wraz ze swym prastarym obyczajem i wiarą, krzepko trzymającą się zabobonów, formułek, broniącą fanatycznie obalanych krzyżów i zamykanych świątyń...

Że Wilno pozostało miastem o przeważnych cechach polskich, złożyło tego dowód w owym bujnym rozkwicie romantyzmu, który *tu* właśnie powstał i szerokim strumieniem *stąd* się rozlał po wsze ziemie dawnej rzeczypospolitej.

Lecz oto idą prądy nowe, indywidualizacja jednostki, różniczkowanie się narodowości—powstają stronnictwa nacjonalistyczno-szowinistyczne. Zawrzała walka na oba fronty, a była w niektórych razach zaciekłym miotaniem słów nieopatrznych, psujących dotychczasową harmonję współżycia obu narodowości. Polacy wprost nie mogli pojąć z początku idei sepatystycznych, Litwini zarzucali Polakom chęć wchłonięcia, asymilowania odrębnej narodowości. Rozłam ten sztucznie był przytym podsycany, z jednej strony przez politykę państwową, hołdującą zasadzie divide et impera, z drugiej—przez wsteczny fanatyzm, mało kulturalnych, a wyszłych z ludu, księży katolickich litewskich.

Dziś jednak ruch nacjonalistyczny stracił już dużo ze swej pierwotnej ostrości, gdyż prawa narodowościowe zdołały wywalczyć uznanie. Zrozumiano też z obu stron, iż należy za wszelką cenę wytworzyć możność współżycia dla obu narodów, których rozdwojenie i odosobnienie w ich pochodzie ku celom wspólnym, byłoby anomalją w wieku XX-ym. Jednakże wszystkie te miejscowe warunki należy dobrze zrozumieć, chcąc pojąć, z jakiemi trudnościami walczyć musi na Litwie wszelka dążność oświatowo-kulturalna.

Zajmując się w sprawozdaniu niniejszym głównie

ruchem oświatowym polskim na Litwie, dotknę pobieżnie i usiłowań litewskich na tym polu, gdyż inne narodowości, zamieszkujące terytorjum, dziś nazywane krajem północno-zachodnim, organizują się oddzielnie i mają odmienne cele. Białorusini posiadają ledwie zaczątki literatury, Żydzi są przeważnie zruszczeni, tak jak i Tatarzy, a Łotysze i Niemcy nie zamieszkują w blizkości dawnej Jagiełłów stolicy. Że zaś Wilno jest głównym siedliskiem, skupiającym Polaków, tu więc i kulturalno-oświatowe instytucje mają grunt najpodatniejszy do wytworzenia bujniejszych plonów.

Do 1905 r. mieliśmy przeważnie różne instytucje filantropijne, a były niemi głównie *ochronki,* gromadzące najuboższą dziatwę. Nauka we właściwym tego słowa znaczeniu nie może tam być udzielaną pod grozą zamknięcia instytucji. Są ochronki, gromadzące dzieci bardzo małe, są zakłady, uczące rzemiosł, ale które również wykładać nie mogą nauki w zakresie najbardziej elementarnym. Ochronami temi zajmuje się głównie p. Montwiłł, prezes *Towarzystwa opieki nad biednymi i nad dziećmi.* Jednym z większych jest przytułek na 119 chłopców starszych. Opłacają oni 1 rs. miesięcznie; jest to szkoła rzemiosł wraz z wykładem przedmiotów, mających łączność z danym rzemiosłem, jako to: nauka rysunku, pisania liczb i t. p.

Towarzystwo utworzyło też kolonje letnie; najgłówniejszą z nich jest druskienicka, w której przebywało 120 dzieci. Urządzone są też zabawy w parku montwiłowskim dla dzieci miejskich, z przewagą znaczną chłopców nad dziewczętami, zatrudnionemi przez matki pracą około gospodarstwa. W szkole rzemiosł uczniowie otrzymują bezpłatnie obiady; w innej sekcji tegoż Towarzystwa *opieki nad biednymi* rozwinięto czynność wzorową, — w przeciągu 3-ch miesięcy wydano 18712 obiadów i 222 porcje święconego. Towarzystwo

jest głównie podtrzymywane ofiarnością swego prezesa, pana Montwiłła; ogół pod względem filantropji zachowuje się dość obojętnie. Myśl opodatkowania społeczeństwa na cele filantropijno-oświatowe, podnoszona kilkakrotnie przez wnoszenie odpowiednich projektów, upadła. Zarząd miasta przyczynia się w pewnej mierze do ich egzystencji, lecz 187 członków towarzystwa zalega w opłacie składki, wynoszącej 3 rs. rocznie. Oprócz tych 187 liczy *Towarzystwo* 5 członków honorowych, 4 dożywotnich, 14 członków wspierających i 148 zwyczajnych. Również do filantropijnych zakładów należy *Zakład Św. Franciszka Salezego* pod nazwą: *Powściągliwość i praca*, prowadzony i utrzymywany staraniem księdza Napoleona *Djakowskiego*, położony na przedmieściu za *Ostrą Bramą*, liczy w internacie 40 chłopców ze sfery najuboższej dziatwy. Zakład udziela nauki slojdu, szewctwa i stolarstwa, również w minimalnym zakresie naukę elementarną. Utrzymanie dziatwy dostatnie; porządek wzorowy. Środki do utrzymania zakładu niewystarczające. Brak też funduszu na budowę domu na placu, ofiarowanym na cel powyższy przez hr. Józefa Przezdzieckiego.

Towarzystwo opieki nad biednymi, założone jesienią 1904 r., wyłoniło też i zorganizowało *Stowarzyszenie sług* pod wezwaniem *Św. Zyty*, które obecnie liczy 1600 członków.

Inna instytucja, powstała również w październiku 1904, objęła *pracownice igły*. Założycielką i prezeską tej instytucji pod wezwaniem *Św. Jadwigi*, jest p. Marja Tyszkiewiczówna. Zakład ten liczył w 1907 r. 36 pensjonarek, opłacających miesięcznie 7 rs. za mieszkanie z całkowitym utrzymaniem, w razie przerwy w zarobku, można uzyskać kredyt.

Trzecią instytucją filantropijną jest *Ochrona kobiet* (Magdalenki), powstała w czerwcu 1904 r., liczy 208 członków. Internat, założony w styczniu 1906 r.,

mieści 62 osoby. Instytucja służyła poradą i pomocą 681 interesantkom, organizuje zabawy, loterje fantowe w celu zyskania środków, a w grudniu roku zeszłego, urządziła na rzecz instytucji odczyt p. Moriconianki, która mówiła „O prostytucji;“ temat jak dotąd nigdy publicznie w Wilnie nie poruszany, który zebrał około 100 osób z inteligiencji w sali klubu szlacheckiego.

Wykład dozwolonej nauki języka polskiego i religji, w języku polskim udzielanej, opiera się też na ofiarności jednostek. Pragnąc zakończyć rys pobieżny naszych ofiar na rzecz filantropji składanych, zamieszczam krótką wzmiankę, iż lekcje języka polskiego są w Wilnie wykładane w trzech szkołach miejskich. P. Powstański ofiarował na ten cel 250 rs., co wystarcza na dwa lata nauki w jednej szkole, w dwuch zaś innych na opłatę nauczyciela języka polskiego dopłacała Oświata, składali się rodzice i zbierano ofiary prywatnie głównie dzięki energji jednej z działaczek społecznych.

Szkołę freblowską mamy tylko jedną na Bakszcie utrzymywaną przez panie: Zacharzewską i Pereświet-Sołtanową; wykład prowadzi się w języku polskim, zajmując w pierwszym oddziale dzieci od lat 4-ch do 6-ciu, w drugim, który stanowi klasę podwstępną— dzieci do lat 7-miu jest też i klasa wstępna.

Urządzenie szkoły jest wzorowe, nauka bardzo starannie prowadzona; ale szkoła mało się rozwija, gdyż rodzice nie zdają sobie sprawy z usiłowań przedszkolnego rozwijania dzieci. Dopominano się natomiast od przełożonych zapoczątkowania lekcji tańca, a gdy te zostały zorganizowane, natłok dzieci był ogromny; również na wszelkich dziecinnych balikach przecisnąć się nie sposób. Bez komentarzy!

Prócz szkoły p. Zacharzewskiej cieszy się powo-

dzeniem szkoła p. Świdówny, przygotowująca dziatwę wprost do zakładów rządowych do klasy pierwszej. Uczą się chłopcy i dziewczęta razem, jestto zatym w Wilnie pierwsza próba szkoły koedukacyjnej poza Freblem. Również są dwa komplety freblowskie, utrzymywane prywatnie.

Przechodzę do prac na polu oświatowym.

Najpierw organizuje się w Wilnie prasa, o której mówić będę w dalszym ciągu tego sprawozdania, potym przychodzi kolej na teatr, a po kilku występach trup przyjezdnych Wilno otrzymuje pozwolenie na pobyt teatru stałego, który też aklimatyzuje się u nas pod dyrekcją p. Nuny Młodziejowskiej i szerzy kulturę za pośrednictwem sceny, darząc nas przedstawieniami jak: Dziady, Wesele, Dzwon Zatopiony, sztuki dramatyczne Hejermans'a, Ernst'a, Zapolskiej i t. p. Trupa pani Młodziejowskiej święci bezsprzeczne tryumfy i szerzy zamiłowanie szlachetnej rozrywki, jaką stanowi teatr, co nie przeszkadza temu, że przeciętna publiczność nie rozumie nawet Dziadów, nie zdaje sobie sprawy z przewodniej idei w Weselu ujawnionej, a na sztuki Zapolskiej przyprowadza wyrostków, nie chodzących nawet jeszcze do gimnazjum; Żydzi stanowczo wolą uczęszczać do teatru rosyjskiego, a ukochanie swojskiego teatru jeszcze nie jest uczuciem, przejmującym sfery mieszczaństwa polskiego.

Wykład języka polskiego i religji w mowie ojczystej stopniowo wprowadzonym został do szkół rządowych tak męskich jak i żeńskich, a zarazem i do szkół prywatnych; ale język polski nie stanowi przedmiotu obowiązującego i udzielany bywa za dodatkową opłatą. Władza szkolna również orzeka, kto może uczyć się języka polskiego.

Troskę o podniesienie wyższej kultury w kraju poza szkołą, o danie sposobności ogółowi zapoznania się bądź elementarnego, bądź gruntowniejszego z innemi dziedzinami wiedzy, stworzenia instytucji pomocniczych, ułatwiających studja, samokształcenie i t. p. podjęły stowarzyszenia, które głównie powstają w Wilnie na początku 1907 r. i organizują się wprawdzie powoli, ale stale.

Każde z nich ma odrębne zadanie, niema wcale między niemi łączności, bo też poszczególne mają cele często kierunki się zmieniają, jak to widzimy w pracach, przedsięwziętych przez „miłośników wiedzy“, a inne znowu stowarzyszenia działają niemal wyłącznie na rzecz filantropji (Koło Nauczycielskie).

Odczyty również bywają dowolne, na tematy oderwane, jedne tylko towarzystwo polskie, „Oświata“ zapoczątkowało wykłady systematyczne z zakresu hygjeny, nauk przyrodniczych i historji polskiej. Zamknięcie towarzystwa uniemożliwiło dalszą w tym kierunku pracę, poza tym w Wilnie do jakiejkolwiek kulturalnej pracy należy koniecznie pozyskać współudział pewnych działaczy i działaczek; bez nich nie uda się rzecz najgienialniej pomyślana. Ogół wymaga przedewszystkim „firmy“, może ją stanowić osoba mało kompetentna nawet, gdyż uwaga zwraca się tu głównie na „osobistości.“

Odczyty poza Towarzystwem Oświaty i temi, jakie organizowało Koło kobiet, Miłośnicy wiedzy i niektóremi z inicjatywy „Lutni,“ są zwykle wygłaszane na jakiś cel filantropijny, tak, że się u nas nie interesują tym, o czym dany prelegient lub prelegientka mówić ma, ale na jaki cel mówi. Stosownie do tego popiera się odczyt lub nie.

Odczyty zresztą nie udają się, jeśli nie są organizowane w niedziele lub dnie świąteczne, wyjątek

stanowią odczyty uprzywilejowane osób znanych w literaturze lub też urządzane przez sfery wyższe, z cenami miejsc stosownie normowanemi. Jak dalece powodzenie odczytów zależne jest od warunków zewnętrznych, dowodzi to, że nie sposób jest urządzać ich stale jako wykładów w oznaczonych chociażby tygodniowych odstępach, należy się koniecznie stosować do tego, czy nie wypadnie w dniu tym jakaś zabawa zbiorowa, podwieczorek panieński, posiedzenie tego lub owego koła i t. p. Można być pewnym, że bez powyższych ostrożności sala będzie świeciła pustkami, inteligiencja stanowczo się nie stawi. Jest to dowodem, jak szczupłe jest grono osób, interesujących się jakiemikolwiek zagadnieniami wiedzy.

Wyjątek stanowiły odczyty *popularne*, urządzane przez polskie towarzystwo Oświaty, bywał na nich niekiedy tłok, a opłatę 5 kop. za wejście składali chętnie najubożsi. Niknące obrazy stanowiły atrakcję największą.

Ogółem w przeciągu 1907 r. po dzień 23 marca 1908 roku wygłoszono w Wilnie odczytów polskich 48.

Poza tym Towarzystwo przyjaciół nauk organizowało dla swych członków, w szczupłym, zamkniętym kółku odczytywanie referatów na wybrane tematy z zakresu badań nad dziejami ojczystemi; odbywało się ono na miesięcznych posiedzeniach Towarzystwa; ale nie może być zaliczonym do odczytów publicznych.

W pewnym gronie osób powstał zamiar utworzenia właściwego *Uniwersytetu ludowego* z następującym programem:

1) Kursy ogólnokształcące i zawodowe, stałe i czasowe.

2) Bibljoteki, czytelnie, muzea, składy książek i podręczników.

3) Konferencje i wycieczki w celach kształcących.

4) Wydawanie dzieł naukowych.

5) Udzielanie porad i wskazówek w sprawie samokształcenia osobnikom i instytucjom.

6) Koncerty, przedstawienia, zabawy ludowe.

Wstęp mieli mieć wszyscy pełnoletni bez różnicy płci, wyznania i narodowości. Program owego stowarzyszenia nie został jednak przez władzę zatwierdzony.

Zamieszczam z kolei wykaz wszystkich odczytów, wygłoszonych w Wilnie w języku polskim od stycznia 1907 r. po 23 marca 1908 r.

Odczyty przygodne (odczytów 6).

1) *Ksiądz Mieszkis.* Filozofja modernizmu w życiu i sztuce.

2) *Walery Gostomski.* O Wyspiańskim.

3) *Moszczeńska.* Idealizm w pedagogice.

4) *Borawski* (artysta teatru wileńskiego). Teatr i artyści.

5) *Nusbaum* (z Warszawy) Mądrość.

6) *Moszczeńska* (z Warszawy). Strejk szkolny w Poznańskim.

Odczyty stowarzyszenia „Lutnia“ (odczytów 3).

1) *Czerkawski.* O naszym obszarze etnograficznym.

2) *Hryniewicz.* Ideje przewodnie młodzieży wileńskiej na początku XIX-go stulecia.

3) *Malewski* (z Warszawy). O Nerwidzie.

Miłośnicy wiedzy (1907 r.).

1) *Niewiarowski.* O ziemi.

2) *Jezierski* (z Warszawy). O oceanie i życiu w nim.

3) *Dr. Wojnicz.* O wodzie.

Odczyty popularne (odczytów 6).

4) *Malinowski*. O sile i ruchu.

5) *Minkiewicz*. O powietrzu.

6) *Czartkowski* (z Warszawy). (O ewolucji w przyrodzie). Roślina a zwierzę.

Odczyty dla inteligiencji, organizowane przez Miłośników wiedzy (odczytów 4).

1) *Krzywicki* (z Warszawy). O Żmujdzi.

2) *Krzywicki* (z Warszawy). O narodowości.

3) *Daniłowski* (z Warszawy). Prądy idejowe społeczeństwa polskiego w okresach przełomowych.

4) *Makowski* (z Warszawy). Ideały przyszłości wielkich romantyków.

Koło kobiet (odczytów 6).

1) *Życka*. O potrzebie nauki (odczyt popularny).

2) *Ostachiewiczowa*. Rozwój samouctwa na Zachodzie i u nas (odczyt popularny).

3) *Turzyma* (Kraków). Równouprawnienie kobiet w dobie obecnej.

4) *Ostachiewiczowa*. Historja ruchu kobiecego.

5) *Ostachiewiczowa*. Kwestja kobieca w ostatnich utworach beletrystycznych i w polemikach publicystycznych.

6) *Prof. Dybowski*. Zgubne skutki alkoholizmu.

Odczyty Polskiego Towarzystwa Oświaty dzieliły się na dwie kategorje:

I) Odczyty popularne z zakresu higjeny i nauk przyrodniczych, zaczęte w jesieni 1907 roku.

1) Pierwszy odczyt wygłosił doktór *Kiewlicz* o cholerze, słuchaczy było 330.

2) Lekarz weterynarji p. *Kojałowicz* o szkodliwych pasożytach w mięsie, słuchaczy było 290.

3) Dr. *Minkiewicz* mówi o powietrzu, słuchaczy było 402.

4) Dentystka panna *Tromszczyńska* O zębach i chorobie jamy ustnej 272.

5) Dr. *Waszkiewicz* O budowie ciała ludzkiego, słuchaczy było 452.

6) Dr. *Hryniewicz* O wulkanach i trzęsieniach ziemi, słuchaczy było 450.

7) Dr. *Sylwanowicz* Szkielet kostny i mięśnie, słuchaczy było 356.

8) Dr. *Sylwanowicz* O oddychaniu i krążeniu krwi, słuchaczy było 250.

Srednio zatym odczyt gromadzi 350 słuchaczy. Wstęp 5 kop. Ogółem słuchaczy było 2806.

II-ga kategorja obejmowała odczyty dla inteligiencji—przeważnie dla młodzieży urządzane. Przedsięwzięto szereg systematycznych prelekcji z zakresu historji polskiej. Prowadzono je mniej więcej stuleciami lub epizodycznie, nie trzymając się podziału na okresy, według historji ustroju Polski (Kutrzeba, Balzer), ale wykład opierano na badaniach najnowszych, prowadzonych objektywnie ze szczególnym uwzględnieniem rozwoju stosunków wewnętrznych (3 odczyty pani Gąsiorowskiej-Grabowskiej). Odczytów historycznych wygłoszono 8; dzieje w nich doprowadzono do śmierci Zygmunta III Wazy, t. j. do 1632 r.

1) Odczyt w kwietniu 1907 r. miał p. *Abramowicz* O Słowiańszczyźnie słuchaczy 150.

2) P. *Kościałkowski* O wpływie chrześcijaństwa na kulturę i ustrój polityczny Słowian Zachodnich, słuchaczy 120.

3) Pani *Gąsiorowska-Grabowska* (z Warszawy). O Polsce dzielnicowej do Kazimierza W-go, słuchaczy 260.

4) P. *Ostachiewiczowa.* O Kazimierzu W., słuchaczy 185.

5) P. *Karpowicz.* Chrzest Litwy (Jagiełło i Jadwiga) słuchaczy 160.

6) P. *Kościałkowski.* Wiek XV (Husytyzm—Kazimierz Jagielończyk) słuchaczy 135.

7 i 8) dwa odczyty pani *Gąsiorowskiej-Grabowskiej* Wiek XVI do 1632 r. do śmierci Zygmunta Wazy słuchaczy 66.—Ogółem 1106.

A zatym przeciętnie odczyt zgromadzał po 138 słuchaczy, przyczym zauważyć należy, że młodzież stanowiła zaledwie czwartą ich część.

Towarzystwo oświaty zorganizowało jeszcze wiosną 1907 r. swe odczyty popularne, natychmiast prawie po swym zawiązaniu się, lecz wówczas jeszcze wygłaszano je na tematy ogólne.

1) Dr. *Billewicz* w marcu 1907 r. mówił: O wpływie palenia tytuniu i używania alkoholu na organizm ludzki.

2) *Ks. Maciejewicz.* O niezbędności wiedzy.

3) Dr. *Zahorski.* O mieście Wilnie.

4) Dr. *Dembowski.* O skórze ludzkiej.

5) *Ludwika Życka.* O Adamie Mickiewiczu.

5 tych pierwszych odczytów zgromadziło słuchaczy mniej więcej 1000.

Oprócz tego urządziło Towarzystwo oświaty odczyt Promyka. *O obrazowym sposobie nauki czytania i pisania*, który zgromadził przeszło 350 osób, a między niemi 24 delegatów zamiejscowych kół Towarzystwa Oświaty, którzy się na ten pokaz zjechali, wezwani przez walne zgromadzenie członków Towarzystwa Oświaty.

Ostatnim zaś odczytem, dozwolonym przez władze miejscowe, a po rozwiązaniu Towarzystwa oświaty, wygłoszonym pod firmą Koła kobiet, była prelekcja p. Jarockiego artysty malarza—„o sztuce."

Z wyliczenia powyższego widzimy, iż głównie odczytami zajmowało się polskie Towarzystwo oświaty, zorganizowane dnia 22 lutego st. st. 1907 roku, a w marcu roku bieżącego zamknięte przez władzę administracyjną. Zaledwie zdołało rozpostrzeć swe skrzydła do lotu, znów je zwinąć musiało i ukłaść się do snu martwego. W odezwie swej inauguracyjnej Towarzystwo zapowiadało, iż w pracy ogarnąć pragnie wszelkie dziedziny, zajrzeć do pracowni i warsztatów, do domów rodzinnych i do seminarjów nauczycielskich. Mamy pole do pracy, pole nasze własne, „rodzone i ukochane bardzo“... pisano i wzywano pracowników do szeregu...

A przyznać należy, że przyjmowano chętnie pracę naukową, chociażby osobnik niosący ją miał odmienne przekonania, Towarzystwu oświaty szło bowiem o naukę, o pożytek oświatowy przedewszystkim. I dla tego chociaż powoli ale stale zdobywano placówki jedną po drugiej i posuwano się naprzód, a jednak przy szerokiej autonomji, jaką dawano kołom poszczególnym, przy uwzględnianiu postępowości, przy nieprzeciwstawieniu się inicjatywie osób odmiennych przekonań, Towarzystwo oświaty spotykało się z niechęcią, niedowierzaniem, a walczyło z apatją ogółu i jego nieprzyzwyczajeniem wprost do pracy społecznej.

Towarzystwo Oświaty miało następujące koła:

1) *Koło ochronek i szkółek* dzieliło się na 3 sekcje:

a) *Koło ochronek Imienia Orzeszkowej* dawało opiekę 116 dzieciom; *dozwolono* dawać obiady, uczyć śpiewu, robót i katechizmu;

b) *Ochronka u św. Jakuba*—500 dzieci i

c) *Ochronka przy kościele Bernardynów*—500 dzieci.

2) *Koło księgarniane i kolporterki* oddawało ogro-

mne usługi przybywającym licznie wieśniakom, zgłaszano się do niego ze wsi i miasteczek, zapotrzebowania szły głównie z gub. mińskiej, mohilewskiej, witebskiej, na pozór biedni bardzo wieśniacy sporo jednak zakupywali książek. Zaopatrywano się chętnie w słowniki Arcta, co, jak objaśniano, ułatwiało im głównie czytanie dzienników. Zarząd koła księgarnianego ułożył katalog rozumowany, podzielony na 6 działów, tworzących bibljoteczki po 6 rs. każda, książki były już oprawione. Ze stopniowaniem odpowiednim ułożone, jednak dobór dziełek nie odpowiadał katalogowi bodaj ułożonemu przez Macierz Polską, nie zapoznawał z działem nauk społecznych i bardzo skąpo udzielał miejsca naukom przyrodniczym. Dodano do działów katalogu jeszcze bibljoteczkę rolniczą i książek dla dzieci, ale w bardzo szczupłym zakresie. Opracowano też program szkółek ludowych.

3) *Koło czytetni i bibljotek.* Istniejąca uprzednio od 25 lutego 1906 roku czytelnia Imienia Mickiewicza— funkcjonowała dalej już pod egidą koła czytelnianego przy Oświacie. Rozpoczęła uprzednio pracę swą z 700 dziełami przy 13 czytelnikach, zwerbowanych namową. Na 1-go stycznia 1907 r. ma już 3420 książek i 1324 czytelników, głównie z warstw najuboższych. Dzieci z początku stanowiły 60%, dalej idą dorośli. W porównaniu z bibljoteką publiczną wileńską, czytelnia Im. Mickiewicza przez 10 miesięcy wydała o 1½ tysiąca książek więcej niż tamta przez rok cały, tymbardziej, jeśli wziąć pod uwagę, że Bibljoteka publiczna wydaje książki codzień, a czytelnia tylko 2 razy, później 4 razy w tygodniu. Z liczby 2800 dzieł skatalogowanych nabyto tylko książek na rs. 2000. Reszta pochodzi z darów. Mieszkanie ofiarował bezpłatnie. P. Montwiłł w murach pofranciszkańskich, a obsługę pełniło kilkunastu członków koła Oświaty—bezinteresownie.

W przeciągu dwuch lat istnienia czytelni bezpłatnej Im. Mickiewicza — obrót książek stanowił 70,800.

4) *Koło odczytowe.* Pod kierunkiem tego właśnie koła, wypowiedziano szereg odczytów, wyszczególnionych wyżej, a podzielonych na dwie kategorje: a) z zakresu hygjeny i nauk przyrodniczych,—*popularne* i b) z zakresu historji polskiej—*dla inteligiencji.* Opłata pierwszych za wejście wynosiła 5 kop., drugich 10 kopiejek.

Przy kole odczytowym zorganizowano podsekcję *Biura porady naukowej*, w celu dopomożenia w pracy umysłowej — tym, którzyby pragnęli dopełnić samouctwem braki w swym wykształceniu.

Odezwa podsekcji *Biura porad*, ogłoszona w pismach codziennych wileńskich w lipcu 1907 roku, wzywała do zgłaszania się pod wskazanym adresem samouków zemiejscowych, nie mających dostępu do bibljotek i czytelni publicznych w celu udzielania im wskazówek piśmiennie za dołączeniem przez pytających do listu dwuch marek 7-mio kopiejkowych. Na myśli miano ludówki, panny ze dworów, które po ukończeniu szkoły średniej lub pensji prywatnej, nie mogąc iść na kursa wyższe, pragnęłyby jednak w pewnych zakresach wiedzy podążać dalej z postępem przez studja, prowadzone w zaciszu domowym. Myślano również i o młodzieży męskiej, z dworów i dworków wiejskich, kończącej nieraz wychowanie na 3 lub 4 klasach gimnazjum... wreszcie o miejskich samoukach z ludu.

Odezwa ta niewielkie wydała rezultaty; w przeciągu 6 miesięcy, licząc od sierpnia 1907 r., zgłoszono *dziesięć* żądań o porady naukowe, a mianowicie: 1 osoba płci żeńskiej, zajmująca się w ochronkach, 1 rządca majątku, 1 organista, 1 nauczyciel ludowy, 4 ofi-

cjalistów dworskich—samouków od *a*, *b*, *c*, 1 gieometra i 1 kobieta z elementarnym wykształceniem. Z niektóremi osobami korespondencja prowadziła się bardzo ożywiona. *Biuro porad* miało zamiar powtórzyć odezwę w prasie miejscowej, lecz zamknięcie Oświaty położyło kres dalszemu rozwojowi tej pracy.

Ustawa Towarzystwa otwierała wstęp swobodny wszystkim, zgłaszającym się do niego, bez różnicy przekonań, płci, wyznania, stanu i zajęcia, zawierała ona dużo projektów, nie mogących być urzeczywistnionemi w krótkim czasie, między innemi zapoczątkowanym już było tworzenie się *Koła* w celu nauczania analfabetów dorosłych; *Koła wydawnicze*, *Koło pomocy dla uczącej się młodzieży i Szkoła ochroniarek* wraz z *seminarjum nauczycielskim*—również powstać miały z zapoczątkowania Towarzystwa Oświaty. Prowincjonalnych kół liczono 12. Wygłoszono na prowincji 5 odczytów, głównie na temat dziejów polskich.

Orzeczeniem Komisji do spraw gubernjalnych na posiedzeniu z d. 14 lutego s. s. 1908 r. Polskie Towarzystwo Oświata w Wilnie ze wszystkiemi jego kółkami, oraz podległemi mu instytucjami zamkniętym zostało.

Ogromnym wzięciem w sferach demokratycznych cieszy się instytucja *Lutni*, powstała w 1905 r. Z początku miała jedną tylko *sekcję wokalno-muzykalną*, w której występy panny *Bohuszewiczówny*, znanej w Wilnie skrzypaczki, cieszą się dużym powodzeniem. Chór zostaje pod dyrekcją p. *Leśniewskiego*.

W rok po swym założeniu—*Lutnia* zorganizowała *drugą sekcję: literacko-dramatyczną*, urządza ona: wieczory słowa, odczyty, deklamacje i przedstawienia dramatyczne (amatorskie). Każdy wieczór poświęcony bywa znanemu, wybitnemu pisarzowi; obie te serje cieszyły się i cieszą niebywałym w Wilnie powodze-

niem, przeciętnie bywa na każdym występie po 400 osób. Tłok ogromny panuje w szczupłym lokalu Towarzystwa, nie mogącym literalnie pomieścić swych gości, tłumaczy się to po części mnóstwem otrzymywanych naraz wrażeń i nizką ceną biletów wejścia. Sekcja wokalno-muzykalna szerzy bezsprzecznie zamiłowanie muzyki, lecz zarzucić można sekcji *literacko-dramatycznej* ogromnie banalne opracowywanie wstępnych referatów czy odczytów o danym autorze, któremu wieczór jest poświęcony; odczytów tych, wygłaszanych martwo, bez pogłębienia ducha twórcy w zakresie piśmiennictwa, nikt prawie nie słucha, tak wszyscy są żądni ujrzenia podniesienia się kurtyny... lecz scena również nie zawsze we właściwej mierze odtwarza arcydzieła naszej literatury, gdyż porywanie się na rzeczy zbyt trudne dla sceny amatorskiej przechodzi jej siły. Niewybredna publiczność jest zawsze zadowoloną, lecz czy to nie obniża istotnej wartości arcydzieł naszego piśmiennictwa? Przytym niektórzy autorowie bywają niezmiernie obcinani i to nie przez nożyce cenzury administracyjnej, np. Tetmajer został niemiłosiernie okrojony, a to psuje ogromnie całokształt twórczości poety. Grają tu przeważnie rolę wpływy klerykalne.

1907 roku utworzono przy Stowarzyszeniu „Lutnia“ trzecią sekcję *naukową*, ta ostatnia zajęła się organizacją odczytów, których odbyło się kilka, na tematy wskazane wyżej i miewały przeciętnie po 60-u słuchaczy.

Towarzystwo miłośników wiedzy, zorganizowane 1907 roku, wiosną tegoż roku urządziło 6 odczytów z zakresu nauk przyrodniczych, o których wzmiankowałam pod rubryką właściwą. W roku zaś bieżącym czynność Towarzystwa ograniczyła się na zewnątrz sprowadzeniem w pewnych odstępach czasu (mniej więcej

miesięcznych) prelegientów znanych z Warszawy (Szczegóły wyżej). Pozatym stowarzyszenie trzyma się separatystycznie, znamiennie niedowierzająco względem stowarzyszeń innych, popularnym nie jest, a zawiodło pokładane poniekąd w nim nadzieje, gdyż nie dało odczytów prawdziwie, źródłowo naukowych, na temat zagadnień, mogących być poruszanemi. Jedynie popularne odczyty przyrodnicze wypełniały tę lukę, lecz dla niewyjaśnionych przyczyn nie zostały podjęte w jesieni roku bieżącego.

Towarzystwo Przyjaciół Nauk za cel ujawniony w swej odezwie położyło: „stworzenie bibljoteki polskiej, skromne badania archiwalne i etnograficzne.“ To są jego zadania najbliższe; z początku młoda instytucja krępowaną była w swym rozwoju brakiem własnego lokalu, lecz wkrótce otrzymuje na własność od p. J. Przeździeckiego dom na siedzibę stałą w darze. Gmach, ofiarowany przez p. J. Przeździeckiego, jestto pałacyk, położony w pobliżu lecznicy oftalmicznej za żelaznym mostem poza Ostrą Bramą. Ma dużą salę na piętrze i kilka pomniejszych na parterze. W gmachu tym mieściła się do niedawna bibljoteka, zbierana jeszcze przez hrabiów Tyzenhauzów, których dom ten był własnością. Hr. Przeździecki cenną tę bibljotekę, składającą się z 10,000 tomów, wywiózł do majątku swego „*Postawy*“. Towarzystwo organizuje najpierwej *muzeum* i *bibljotekę*. Zbiory po zmarłym p. *Antonim Zaborskim* kładą podwaliny pod to przyszłe muzeum krajowe, szczególniej bogate są zbiory z zakresu archeologji, dużo numizmatów, mnóstwo wykopalisk z epoki kamienia łupanego, monet z czasów Mieszka I i II.

Przedmioty, odnoszące się do etnografji Żmujdzi: narzędzia muzyczne, długie dudy, rodzaj cytry, dalej

rzeźbione rączki do zatykania palących się łuczyw, kijanki, rzeźbione deszczułki do prząśnic.

P. Butrymówna ofiarowuje 455 przedmiotów z wykopalisk kurhanowych, P. Francuzowiczowa zbiór monet polskich: piastowskich, jagielońskich i z epoki porozbiorowej, grosz srebrny Kazim. W., denary Kiejstuta i Witolda. *P. Tyszkiewiczówna* ofiarowuje Zielnik uniwersytetu wileńskiego. Nie sposób w krótkim sprawozdaniu zaznaczać wszystkich nadsyłanych darów.

W zbiorach po Zaborowskim okazało się książek mało — pierwszy zaczątek bibljoteki powstał dzięki ofiarności pp.: Okulicza, Stratyńskiego, Natansona. P. Zygmunt Glogier ofiarował zbiór dokumentów z XVIII i XIX w., tyczących się Wilna. P. Jelski z Zamościa nadesłał kilka tysięcy autografów ze spuścizny po ś. p. Kirkorze. Różne towarzystwa naukowe przesyłają tu swe wydawnictwa, akademja krakowska obiecała komplet swych wydawnictw, co utworzy zbiór cenny. Przytym panowie Montwiłłowie ofiarowali w roku bieżącym na powiększenie *Bibljoteki Towarzystwa Przyjaciół Nauk* odsetki od kapitału, złożonego przez nich na cele filantropijno-społeczne, co wynosi sumę 5000 rb.

Obecnie Towarzystwo liczy 182 członków, 170 w Wilnie, 12 zamiejscowych, między tymi ostatnimi spotykamy nazwiska: prof. *Korzona*, dr. *Kętrzyńskiego*, dyrektora Ossolineum we Lwowie, prof. Smolkę, Orzeszkową jako członka honorowego. W końcu 1907 roku bibljoteka Towarzystwa liczyła 4408 dzieł w 6795 tomach, skatalogowanych jest przeszło 3000. Muzeum posiada 6000 przedmiotow, złożonych przez 70 ofiarodawców.

Na miesięcznych zebraniach członków Towarzystwa wygłaszają się referaty na tematy, tyczące się

historji i etnografji kraju, a oparte na nowych, źródłowych badaniach. Oto referaty wygłoszone dotąd:

1) Prof. *Kościałkowski*: Ze studjów nad działalnością Antoniego Tyzenhauza, podskar. nad. lit. za kr. St. Augusta.

2) *Studnicki*: Przyczynek do udziału miast w sejmach rzeczypospolitej.

3) *Ks. Kurczewski*: O biskupie Białozarze i spustoszeniu Wilna w XVII wieku.

4) *Dr. Zahorski:* O kościele Franciszkanów w Wilnie.

5) *P. Abramowicz* odczytał referat, nieobecnego *P. Szukiewicza:* O Trokach.

6) *P. Michał Brensztejn* dał referat, traktujący o *etnografji Żmujdzi.*

Niezależnie od powstającego muzeum przy Towarzystwie przyjaciół nauk, wiosną 1907 r. założono inne stowarzyszenie pod nazwą: *Muzeum nauki i sztuki*, które ma swą stałą siedzibę w pałacu b. ordynatowej Tyszkiewiczowej przy ulicy Nadbrzeżnej. Celem jego jest gromadzenie zabytków przeszłości, dzieł sztuki, kolekcji naukowych, urządzanie odczytów poglądowych, organizowanie wystaw czasowych i stałych. Zbiory muzealne są w zapoczątkowaniu; ale po ich względnym uporządkowaniu i rozszerzeniu, wszelkie kolekcje jako też bibljoteka muzeum mają być otwarte dla studjów naukowych i artystycznych, co wielu umożliwi kształcenie się w odpowiednim zakresie, a różnorodność zbiorów (zabytki kultury: litewskiej, polskiej, białoruskiej) zaświadczy o rozwoju poszczególnych narodów, zamieszkujących Litwę i Białoruś.

Członkowie założyciele „Muzeum“ wnieśli odpowiedni kapitał zakładowy, w dalszym ciągu środki mają być czerpane z wkładek, opłacanych przez członków honorowych i wspierających, jako też z docho-

dów, pochodzących z ofiar, składanych bądź w gotowiźnie, bądź w darach dla muzeum. Z darów tych wyróżnia się zbiór przedmiotów cennych, ofiarowany przez p. Benedykta Tyszkiewicza. Są tu urny, różne naczynia z malaturami i rzeźbami, płaskorzeźby, ozdoby kobiece, paciorki, łzawnice i drobiazgi domowego użytku. Głównie wzrasta *galerja obrazów*. Reprezentują ją dzieła: Téniers'a, Ximenes'a, Orłowskiego, Matejki, Kossaka, kobiecy portret Wyspiańskiego, studjum olejne Anny Bilińskiej, portret, nadesłany przez Olgę Boznańską z Paryża i wiele innych. Muzeum przyjmuje też różne dzieła sztuki w depozyt, ręcząc za ich staranne przechowanie i zapewniając zwrot ich w czasie przez właścicieli oznaczonym.

Osnowę działu bibljotecznego stanowią dary hr. Antoniego Tyszkiewicza, złożone z dzieł polskich i obcych. Między innemi znajduje się tu: Statut Łaskiego z pieśnią Bogarodzica z r. 1505, Rozmowy króla Salomona z Marchołtem z 1521 r. i parę innych zabytków piśmiennictwa, jak np. pergaminowy modlitewnik łaciński z końca XIV w. z miniaturami.

Jesienią 1907 r. staraniem Muzeum nauki i sztuki urządzono czasową wystawę prac uczniów szkoły prof. Krzyżanowskiego z Warszawy, który przebywał z nimi przez lato w malowniczych okolicach Wilna (w Werkach) dla studjów z natury.

Otwartą też mamy obecnie drugą z kolei wystawę obrazów (Zawalna 8) urządzaną przez artystów malarzy litewskich. Odznaczają się obrazy malarza Czarlanisa.

Pragnąc w krótkim zarysie pomieścić wzmiankę o kulturalnym ruchu litewskim, tylko pobieżnie wspomnę o Stowarzyszeniach kobiecych w Wilnie, o ruchu wydawniczym, prasie i czytelniach polskich. Przedmiot to nadający się do oddzielnego całkiem artykułu.

Oprócz filantropijnego Stowarzyszenia, mającego na celu ochronę kobiet, o którym wzmiankowałam wyżej, mamy w Wilnie „Koło równouprawnienia kobiet“ założone 1906 r., ulegalizowane 1907.

Zaznaczyło ono swą działalność podaniem petycji do Dumy państwowej: jednej z żądaniem równouprawnienia kobiet, drugiej o prawo zakładania szkół z wykładowym językiem polskim. Koło urządza odczyty, zorganizowało niedzielne wykłady prawa, kursa amerykańskie, sekcję przemysłowo-ekonomiczną i pedagogiczną. Założycielka i prezeska Koła, p. Węsławska energiczną jest działaczką.

Towarzystwo wzajemnej pomocy nauczycielek i wychowawczyń trwa od lat 12; zalegalizowane w 1906 r. Uwaga główna zwrócona na niesienie pomocy biednym nauczycielkom.

1907 r. w październiku otwarte zostało w szczupłym lokalu Schronisko dla biednych nauczycielek głównie z ofiar, złożonych prywatnie. 200 rb. rocznie opłaca się za oddzielny pokój z całkowitym utrzymaniem, a 100, jeśli się zajmuje pokój wspólny. Obecnie jest 4 pensjonarki, z których jedna opłaca tylko 3 rs. miesięcznie, a jedna przyjętą jest bezpłatnie. Odczyty mogą jedynie być wygłaszane dla członków. Ruch mały. W roku zeszłym adwokat Wróblewski miewał wykłady z zakresu kwestji społecznych. Prezeską jest p. Józefa Rodziewiczowa.

Statystyka ruchu wydawniczego wykazuje: *w roku 1905* w języku polskim jedno pismo codzienne w 4500 egz., gdy w rosyjskim było 5 codziennych w 15000 egzemplarzach. *W roku 1906* 2 pisma codzienne w języku polskim, odbijane w 9200 egz. W litewskim 1 codzienne w 2500 egz. i trzy tygodniowe w 3700 egz.

Rosyjskie 7 codziennych w 15000 egz. i 3 tygodniowe w 8000 egz.

Żydowskie 4 pisma codzienne w 30,000 egzemplarzy, 6 tygodniowych w 32 tysiącach egzemplarzy.

W chwili obecnej mamy codziennych pism w języku polskim dwa: *Goniec wileński* i *Kurjer litewski* i 1 tygodnik popularny, bardzo postępowy *Wiedza*, również pisma ludowe: *Zorzę* i *Przyjaciela ludu*. Daje się odczuwać ogromny brak miejscowego organu postępowego, jaki był reprezentowany przez *Gazetę wileńską*, wydawaną w 1906 r. przez p. Michała Römera, a zawieszoną przez wydawcę z braku środków i poparcia przez ogół. Wydaje się też humorystyczna „Plotka."

Czytelni, prócz bezpłatnej Im. Mickiewicza, liczy Wilno 3 w języku polskim, ruch czytelniowy b. słaby, liczba wypożyczających książki w 3-ch czytelniach nie przenosi 400 osób! Czyta się przeważnie beletrystykę, upędzając się jedynie za powieściami sensacyjnemi. Właściwie z trzech czytelni, jedna tylko ma prawo na czytanie dzienników i tygodników na miejscu. Jestto czytelnia i wypożyczalnia pod nazwą „Nowa", mieszcząca się przy ulicy Tatarskiej Nr 20. Dwie inne p. p. Makowskiego i Zawadzkiego mają jedynie prawo na wypożyczalnie. Czytelnia „Nowa" jest też jedyną w swoim rodzaju. Dobór dzieł poważnych z różnych działów, sprowadzanie dzieł na żądanie abonentów, kierunek postępowy, nowości wydawnicze, są atrakcją dla czytelników. Ruch w niej jednak słaby.

Poza temi czytelniami mają też bibljoteki różne stowarzyszenia i kluby wyłącznie dla swych członków. W niektórych znajdują się wyłącznie książki polskie, w innych dział ten jest dodany.

W zakończeniu wspomnę o *Litewskim Towarzystwie naukowym*. Zjazd przedstawicieli odbył się 5-go

sierpnia 1907 r., prezesem jest *Dr. Basanowicz*, ceniony przez swych rodaków — pierwszy z założycieli Auszry (Świta), lecz jest on wrogo względem Polaków usposobiony.

Towarzystwo powzięło zamiar założenia *domu ludowego*. Dla tworzącego się muzeum i bibljoteki głównie złożyli dary: *Dr. Basanowicz* i *ks. Tumas.* W projekcie jest wygłaszanie odczytów, z których parę już się odbyło. Świetlaną postacią w ruchu litewskim o pojednawczym i sympatycznym kierunku względem Polaków był młodo zmarły *Paweł Wyszyński.*

Kobiety-Litwinki organizują się. Podaną została do zatwierdzenia ustawa ich Związku. Inicjatorkami są: Marja Putwińska, Zofja Kimontówna, Anna Plejzis Pujda.

Zatarg polsko-litewski, wywołany przez szowinistów patrjotów litewskich, przycicha, polemiki jeszcze się w pismach pojawiają, lecz coraz częściej odzywają się głosy pojednawcze. W Nr 153 Kurjera Litewskiego za 1907 rok traktuje ów spór z punktu zapatrywania XX wieku p. Horbaczewski.

„Stara Litwa—pisze on—obumarła w dawnej, już nie istniejącej Unji. Nowa Litwa odradza się w duchu nowoczesnej *Unji ludów i narodów.* Starej Litwy niema, jak i Starej Polski niema. W wieku XX musi panować wolny wybór narodowości.“ W tym odradzaniu się obu narodów—precz z cieniem grobów! Dalej autor twierdzi, że jednak walka dodatni wpływ wywarła, oba narody poznały się wzajemnie, więc mogą się złączyć dla innych niż dawniej celów, ale zawsze dla wspólnego dzieła... Dla Litwinów środek wzniesienia się na wyżyny kulturalne widzi p. H. w pracy twórczej, dośrodkowej, kulturalnej, kwoli

wydania ludzi głębokich, wielkich; oni to, oni jedynie pociągnąć mogą masy i następnie wytworzyć typ kultury indywidualnej. Tyle p. Horbaczewski.

I Polacy nie mogą spoczywać na laurach, chociaż mają kulturę, wypracowaną wiekami przez swych wielkich przedstawicieli w piśmiennictwie, bo życie nie zna spokoju, który przetwarza się w zastój i martwotę! Nam w Wilnie brak przedewszystkim młodzieży... praca idzie tylko i posuwa się wysiłkiem ludzi starszych, to nasuwa dużo refleksji poważnych i smutnyeh, a jedną z przyczyn podobnego objawu stanowczo jest brak wzajemnego porozumienia się, pewne niedowierzanie i wrodzona apatja. Brak nietylko rąk do poruszenia z posad bryły ziemskiej, ale brak i chęci potemu! Smutno.

Kazimiera Ostachiewiczowa.

O nauczaniu języka polskiego w klasach niższych szkoły średniej[1].

I.

Wynikiem to jest szczególnych warunków, w których znajduje się szkolnictwo nasze, jak również tradycji, ciążącej po dziś dzień, że nauczycielce czy nauczycielowi języka polskiego przypadło w udziale zajmować się wszystkiemi niemal dziedzinami wiedzy ludzkiej. System łączenia pogadanek o rzeczach, a czasem całej nauki t. zw. realjów z lekcjami języka ojczystego, wyrządził niemałą szkodę zarówno pogadankom, jak nauce języka, i wywołał panujący dotychczas zamęt pojęć. Nauka o rzeczach bez rzeczy, bez zetknięcia się bezpośredniego z przyrodą mijała się zasadniczo ze swym przeznaczeniem, język zaś pełnił rolę służebną, musiał zejść na plan drugi. System taki mógł być słusznym i pożądanym tylko dopóty, dopóki wszystkie inne wiadomości otrzymywały dzieci w języku obcym, dopóki nauki przyrodnicze nie weszły zwycięsko do szkoły, ażeby stać się podwaliną wszelkiego wykształcenia. Dziś stoimy wobec warun-

[1]) W artykule niniejszym nie dotykam wcale wykładów gramatyki jęz. polskiego. (*Przyp. Aut.*).

ków odmiennych: wykład wszystkich przedmiotów odbywa się w języku ojczystym, nauki przyrodnicze udzielane są dzieciom w szkole, począwszy od klas najniższych, w formie pogadanek, na które wyznaczono osobne godziny; zastanowić się przeto trzeba poważnie i rozstrzygnąć ostatecznie zagadnienie, czy i nadal jeszcze na lekcji języka polskiego wykładać należy nieudolnie gieologję, gieografję, zoologję, botanikę, fizjologję i t. d. A stan podobny trwa u nas dotychczas, o czym przekonać się można chociażby z książek do czytania na kl. I, II i III. Bo, istotnie, w co przy takim materjale zmienia się nauka języka, jeżeli się ma do czynienia nie z zahukaną, bierną gromadką, ale z żywemi, ciekawemi umysłami? Sypią się pytania, tworzą komplikacje, od zagadnienia do zagadnienia, poruszane są całe odłamy wiedzy specjalnej. Nauczyciel, zmienny jak Proteusz, musi się stawać tłumaczem wszystkich zdobyczy tej lub owej nauki.

Ażebym nie był źle zrozumiany, muszę się zastrzec. Wiem, że przy każdej sposobności tysiące pytań z najrozmaitszych dziedzin tam, gdzie jest zdolna głowa, świeża myśl, powstawać muszą; twierdzę, że każda nauczycielka i każdy nauczyciel powinien posiadać obszerne wykształcenie encyklopedyczne, ale bronię lekcji języka polskiego od narzucania obcych im zadań, od przemieniania ich w powierzchowne, bo nie przez specjalistów prowadzone, wykłady.

Śród powszechnego więc niezdecydowania co do zakresu pracy nauczycielki i nauczyciela języka polskiego w klasach niższych szkoły średniej, należy raz wreszcie określić, jakie jest przeznaczenie owych godzin, które w planie noszą nazwę godzin języka polskiego. Otóż na to może być według mnie jedyna odpowiedź: godziny te są przeznaczone na po-

znawanie arcydzieł literatury ojczystej i zdobywanie umiejętności wyrażania w słowie własnego świata uczuć i myśli. Czas nadszedł, jak się zdaje, aby szkoła obok wykształcenia umysłowego, etycznego, pomyślała poważnie o wykształceniu estetycznym, a jeżeli chodzi o poezję, najcięższe obowiązki spadają na tych, którzy się poświęcili nauczaniu języka. Nauka i sztuka przecież to są dwa odmienne sposoby pracy duchowej, dwa odmienne sposoby użycia języka; jeżeli więc na innych lekcjach pracujemy nad wyrobieniem zdolności pojęciowego ujmowania świata, tutaj kształcimy obrazowe i uczuciowe jego ujmowanie. Kiedy na innych lekcjach uczeń lub uczennica poznają język jako narzędzie myślenia naukowego i naukowego wyrażania myśli;—na tej zapoznać się muszą z językiem, jako narzędziem myślenia obrazowego, tudzież plastycznego wyrażania gry uczuć i wyobraźni.

Kulturę językową zdobywa się przedewszystkim przez rozwój estetyczny językowy, przez doskonałe zrozumienie piękna językowego i sposobów jego zużytkowania. Tak mniemam i sądzę, że na to zgodzić się trzeba. Umiejętny wybór najbliższego, najodpowiedniejszego słowa, doskonałe wyczucie obrazowości i plastyki języka, pogarda dla wszystkiego, co w mowie płaskie i banalne, unikanie przejaskrawionych efektów, zachowanie w stylu miary i godności, wszystko to, co stanowi istotę opanowania języka, zdobywa się nie na drodze ćwiczeń gramatycznych, rozbiorów, odmian i deklinacji, ale przez wejrzenie w głąb tajników twórczości.

Do zajęć gramatycznych z młodzieżą przygotowania się łatwość posiadamy dostateczną: istnieje szkoła średnia filologiczna, istnieją na uniwersytetach wydziały językowoznawcze, istnieje wiele dzieł znakomitych i w języku polskim. Przygotować się do tych

prac pedagogicznych można bez wielkich trudności. Natomiast jeżeli chodzi o kulturę językową pod względem estetycznym, o przeniknięcie piękna językowego, jesteśmy pozostawieni wrodzonym zdolnościom i własnemu przemysłowi. Piśmiennictwo nasze nie posiada literalnie ani jednego dzieła, któreby obszernie i gruntownie tę rzecz wykładało. Nam, nauczycielom i nauczycielkom języka polskiego, potrzeba dla naszego specjalnego wykształcenia dzieł odpowiednich. Potrzeba przedewszystkim gruntownego dzieła o estetyce, umiejętnie i sumiennie, a zarazem artystycznie rozbierającego wszystkie objawy sztuki. Ani Lemcke, ani Veron, ani studja Taine'a dziś nie wystarczają. Musimy mieć jasną syntezę takich arcydzielnych prac, jak w dziedzinach poszczególnych badania Helmholtza nad muzyką i malarstwem, Büchera nad pracą i rytmem, Grossego czy Verworna o początkach sztuki; w dziedzinie zaś ogólnej przepięknych prac Guyau, próby Posnetta, oraz całego szeregu pisarzy, rozpatrujących sztukę z punktu widzenia społecznego. Drugim z kolei niezbędnym dla nas dziełem byłoby studjum o właściwościach i dziejach prozy polskiej; trzecim — studjum o wierszu polskim i jego dziejach; czwartym—studjum o stylu; piątym—dzieło o kompozycji utworów poetyckich. A jeżeli mówię: dzieło o kompozycji utworów poetyckich, to naturalnie nie mam na myśli bynajmniej pracy, któraby miała wskazywać, jak należy komponować utwory poetyckie, ale któraby z niesłychaną przenikliwością i zmysłem prawdziwie poetyckim wyjaśniała kompozycję utworów już istniejących, dawała przykład i metodę takiego badania. Stosuje się to zarówno do wszystkich wymienionych powyżej dzieł. Brak tych prac uniemożliwia nam całkowite opanowanie przedmiotu i czyni nasze wiadomości fragmentycznemi; w tym kształcie udzielają się one naszym uczniom i uczenicom.

Przypuśćmy jednak, że dzieła te istnieją, albo że istnieją źródła, które umożliwiają zdobycie potrzebnych wiadomości. Obok takiego wykształcenia umysłowego nauczyciel czy nauczycielka języków musi posiadać wykształcenie fizyczne t. j. doskonałą sprawność we władaniu narządami mowy. To opanowanie głosu jest zasadniczym a zaniedbywanym stale momentem w przygotowaniu do zawodu nauczycielskiego, który opiera się wszędzie i zawsze na głosie, na wyćwiczeniu organów mowy. Zwykle nie obliczamy, ile energji i wysiłku umysłowego zużyć musi dziecko, aby słuchać przez czas dłuższy matowego, jednostajnego głosu nauczyciela. A przecież może i w tym tkwi przyczyna nieuwagi dziecięcej. Jeżeli każdy nauczyciel i każda nauczycielka wprost dla własnego interesu życiowego, dla oszczędzenia energji powinni ćwiczyć się w umiejętnym używaniu narządów głosowych, o ileż więcej starać się o to musi nauczyciel języka polskiego, którego głos ma ujawnić dzieciom wszystkie czary mowy ojczystej. Pod tym względem jesteśmy nawet o tyle szczęśliwi, że mamy gruntownie napisaną rzecz Tennera w dwuch tomach: „Technika żywego słowa“ i „Estetyka żywego słowa.“

Ale nie koniec na tym. Nauczyciel języka polskiego powinien posiadać wysoką władzę nad słowem. Przez usilne ćwiczenia w tym kierunku, przez wysoką kulturę estetyczną powinien zdobyć umiejętność wyrażania się jasno, ściśle, dobitnie, nadawać odrazu myśli kształt ostateczny, dobierać słów, zgodnie z zawartością małych główek uczniów i treścią przedmiotu. Nie wspominam o tym przygodnie, owszem, uważam to za punkt wielkiej wagi. Wszak nauczycielka i nauczyciel języka polskiego mają poprawiać wypracowania uczniów, mają wychowankom wskazywać naj-

odpowiedniejsze środki wypowiedzenia się. Zmuszeni są nieraz z błyskawiczną niemal szybkością umieć wybrać z gromady szarych słów to, które daną treść najlepiej uwypukli. Wreszcie nie traćmy z oczu jeszcze jednego względu: nie przez ćwiczenia gramatyczne to, nie przez umiejętność rozbioru uczy się dziecko władania mową ojczystą, ale przez zarażanie się—że tak powiem— od otoczenia, w którym żyje i rozwija się, tudzież przez zetknięcie z książkami, w których w szlachetnej lub nieszlachetnej formie wyrażono wzniosłe i czyste lub też złe i zatruwające młody organizm myśli.

Przygotowany tak, jakem to wyżej nakreślił, nauczyciel zawsze panować będzie nad młodzieńczemi umysłami i potrafi je bez wysiłku i próżnej straty czasu prowadzić ku jasno uświadomionemu celowi.

Ażeby jednak mógł on nadać pożądany kierunek swoim zajęciom, musi posiadać odpowiedni materjał. Materjałem tych zajęć jest zawartość książki do czytania.

II.

Dzisiejsze podręczniki do nauki języka polskiego w znacznej części mijają się ze swym przeznaczeniem, a to wskutek tego, iż układający i układające zbyt wiele celów mieli przed oczami: chcieli umieścić tam wiadomości z przyrody, z historji, z ludoznawstwa, życiorysy sławnych ludzi, tematy do pogadanek o rzeczach, nauki moralne, wreszcie wyjątki z utworów prozą i wierszem. Jakby obawiając się, by nie uczyniono im zarzutu, iż wypisy są za lekkie, autorowie zapełnili je ciężką, zimną, moralizującą treścią. Prawdziwe zaś dzieła poezji podane są zrzadka, jak przysmak czy okrasa. Fatalne nieporozumienie! Rozświe-

tlając życie we wszystkich kierunkach, otwierając niezmierzone horyzonty, sztuka jest równie poważna i ważna, jak nauka. Książka, o której mowa, nie do umysłu tylko ma przemawiać — czynią to wszelkie inne podręczniki—ale do całego człowieka, do wszystkich władz jego ducha. Nic prozaicznego, nic płytkiego, nic nudnego w książce takiej znaleźć się nie może. Wypisy powinny być ukochaną książką, muszą zatym zawierać to, co najsilniej przemówi do młodzieńczej duszy, otoczone urokiem czystego, szczerego piękna. Drugim warunkiem, który należy wymienić tuż obok poprzedniego, jest przystępność wybranych cząstek i całości. Jak nie powinniśmy dawać dziecku w książce do czytania rzeczy przystępnej ale brzydkiej, tak pod najwyższym zagrożeniem nie powinniśmy dawać rzeczy nawet najpiękniejszej, ale niezrozumiałej. Karą dla nas będzie rezultat naszej pracy — spaczenie duszy dziecka, przyzwyczajenie go do powierzchowności, górnolotnych słów bez treści, powtarzania zdań, myśli, których nie pojmuje. Nie kwalifikuje się przeto do książki do czytania utwór, który tej podwójnej próby ognia i wody nie wytrzyma.

Ponadto wypisy dla dzieci domagają się ilustracji i to ilustracji, dobranych z nadzwyczajną starannością, a więc nie lichych trawionek, których pełne podręczniki rosyjskie i nasze elementarze. Ryciny, umieszczone samodzielnie czy związane z treścią, dostarczyłyby obfitego materjału do swobodnych opowiadań lub wypracowań.

Gdy taką książkę dziecko weźmie do ręki, jak podarek noworoczny czytać będzie z zachwytem i z gorącą ciekawością szukać źródeł, z których powstała. W ten sposób książka do czytania spełni i to jeszcze istotne swe zadanie: zachęci do dobrej lektury, zniechęci do złej. Dziecko z rozwiniętym zmysłem este-

tycznym nie pójdzie na lep skleconej bylejak opowieści, rzuci ze wstrętem rzecz nędzną i płaską.

III.

Wyobrażam więc sobie, że książkę taką mam, że znam ją doskonale. Książka nie jest obszerna: zawiera kilkadziesiąt urywków i całości, kilkadziesiąt okienek na świat i duszę ludzką. Mimo iż wszystkie utwory są dobrane odpowiednio do wieku i rozwoju uczniów, niepodobna obejść się bez wstępnych wyjaśnień, choćby one miały tylko polegać na kilku pytaniach i odpowiedziach, na kilku przypomnieuiach ludzi, miejsc, widoków, zdarzeń. Tego się nie uniknie nawet przy najdoskonalszym układzie książki, gdyż niepodobna przewidzieć wahań bystrości umysłowej, oraz zasobu wyobrażeń w duszy dziecka. Ażeby umożliwić dziecku przeżycie nowych treści, zawartych w tym lub owym utworze, i nam, nauczycielom języka polskiego, potrzebne są pomoce naukowe. Zaliczam do nich: mapy, artystycznie wykonane krajobrazy, portrety, wzory strojów ludowych i t. p. One sprawiają, że żadne słowo rzeczy czytanej nie pozostanie martwą literą czy pustym dźwiękiem. Kto lepiej rozumie, ten silniej czuje, ten swobodniej przeżywa. Pojmuję naturalnie dobrze, że takie pomoce nie zastąpią nigdy dzieciom osobistego doświadczenia, to też przy wszystkich objaśnieniach należy poszukiwać oparcia w żywych, bezpośrednich przeżyciach. Pod tym względem dzieci mogą sobie wzajem pomagać. Oto w książce opis Tatr. Może znajdzie się w klasie dziecko, które było w górach; ono samo opowie, co widziało, co słyszało, podzieli się z klasą swojemi wrażeniami, przygotowując ją do czytania. Ale i nauczyciel musi korzystać z każdej sposobności. Oto pierwszy dzień wio-

senny; dzieci spędziły kilka godzin na świeżym powietrzu. Nadchodzi lekcja, urozmaicona szeregiem opowiadań o tym, co uczniowie widzieli, co przeżyli, poczym zostaje odczytany chociażby ten prosty wiersz Kasprowicza „Wiosenka.“

Po kilkakrotnym odczytaniu utworu, kiedy ustalone zostało ogólne tempo, główne akcenty, co wymaga już pewnych objaśnień, pytań i odpowiedzi, kiedy uczniowie płynnie mogą odczytać utwór, i proces czytania nie nastręcza im trudności, zastanawiamy się nad utworem. Zastanowienie takie polega na uświadomieniu sobie zasadniczego nastroju i zasadniczych motywów, postaci, myśli, zdarzeń, uczuć, rozpatrzeniu formy, jej właściwości, wyjaśnieniu, czemu autor musiał użyć tej a nie innej formy, jak harmonijnie łączy się treść z formą, jak autor zużytkował formę, której użył. Tutaj zaznaczyć należy, że jakiegoś z góry określonego porządku analizowania zagadnień narzucić niepodobna, ponieważ byłoby to wtłoczeniem w martwe formy procesu ruchliwego i zależnego od wielu czynników zewnętrznych. Gdy w ten sposób dzieci poznają i odczują głęboką wartość utworu, gdy ulegną jego urokowi, mogą, jeżeli utwór nie wymaga nadzwyczajnego wysiłku, uczyć się go na pamięć. Stosuje się to zarówno do wierszy jak do prozy.

Raz na zawsze trzeba zerwać z szablonowym wyjaśnieniem treści utworu. Treść, sens utworu, sens jego istnienia, to nie tylko to, co autor mówi, ale i to jak mówi, uczucie, tętniące w krzepkim lub marzącym, w twardym lub subtelnym rytmie prozy czy wiersza, siłą i plastyka porównań, łagodne czy ostre, gwałtowne czy chropawe spadki zdań, wierszy—wszystko, co tak lub inaczej nastraja nas, budzi, podnieca i wzrusza. Z tego też względu należy potępić opowiadania w tej formie, w której uprawia je szkoła dzi-

siejsza. Czyż dziecko nie uczy się lekceważyć piękności utworu, gdy w swoim opowiadaniu najczęściej nie uwydatnia gry barw, kształtów, wyrazów twarzy, tysiąca drobnych rysów, intuicyjnie uchwyconych przez poetę, gdy zatraca całkowicie muzykę opowiadanej prozy czy wiersza, kunsztowną budowę okresów, szczególne zwroty mowy, a więc i tę treść uczuciową, która się w nich zamyka. A jeżeli istotnie dusza dziecka jest zachwycona utworem, jeżeli czuje prawdziwie jego piękności, to czyż nie oceni, że najwyższy nawet wysiłek jest zawsze daremnym wysiłkiem dorównania oryginałowi. Cóż bowiem w opowiadaniu takim zostaje z całości utworu? Kilka osób, a raczej kilka imion, jakieś miejsce i jakiś fakt, wszystko razem wyziębłe, zobojętniałe. Dlatego to na zawsze należy porzucić wszelkie streszczenia i opowiadania rzeczy, zawartych w książce do czytania, naturalnie, o ile są one prawdziwemi dziełami sztuki, nie zaś prozaicznemi pogadankami.

A cóż w takim razie stanie się z opowiadaniami ustnemi? Należy je zastąpić w ten sposób, aby pozostały dawne zyski, może przyrosły nowe, zniknęły straty. Jak w wypracowaniach szkolnych porzuciliśmy tradycję zabójczo nudnych, obojętnych tematów, a staramy się powiązać je z życiem wewnętrznym uczniów, tak samo należy postąpić i tutaj. Uczeń na lekcji języka polskiego powinien się ćwiczyć w ustnym wypowiadaniu własnych myśli i doświadczeń, zachowując ich świeżość, oryginalność i siłę; tego odeń wymagać mamy. Na razie mogą się nastręczyć pewne techniczne trudności przy podziale tematów, dostarczonych przez dzieci, przy wysłuchiwaniu i t. d., nie są to jednak przeszkody, które uniemożliwiłyby zajęcia; po kilku lekcjach już można uporządkować pracę całkowicie. A pomyślmy, ile życia, ile zaintereso-

wania zbudzi ta stałą nowość w małych słuchaczach i twórcach, dziś tak znudzonych powtarzaniem po sto razy jednej i tej samej historyjki.

Ażeby wszystkie te zajęcia szkolne były związane jakąś nicią przewodnią, powinny one grupować się około treści, których dostarcza książka do czytania grupować się okołe nich, do nich się kierować lub z nich wypływać, choćby w najdalszej konsekwencji..

Kazimierz Wójcicki.

Gimnastyka rytmiczna.

Metoda Jakóba Dalcroze'a.

Jakób Dalcroze, twórca gimnastyki rytmicznej, szwajcar z urodzenia, jest znanym kompozytorem muzycznym, profesorem konserwatorjum genewskiego, literatem.

W czasie długich lat obserwacji swej nad młodzieżą, doszedł do przekonania, że brak poczucia i rozwinięcia rytmu jest nader ujemnym czynnikiem w całokształcie wychowania.

Nowa metoda wyłoniła się z bezpretensjonalnych piosenek, ułożonych dla małych dzieci pod nazwą „Chausons de gestes." Dzieci przy akompaniamencie muzyki śpiewały piosenki, wyrażając gestami ich rytm i nastrój.

Doświadczenia, czynione w tym kierunku, naprowadziły go na głębokie refleksje co do znaczenia i wagi wogóle rytmu w życiu ludzkim i przekonały, jak wielką luką w wychowaniu jest lekceważenie tego czynnika. Stanisław Mleczko w swej pracy „Serce a heksametr" powiada: „Rytm tętna sercowego wykształca formę, jeśli nie wszystkich, to w każdym razie bardzo wielu zjawisk naszych biologicznych; ujawnia się zaś nam we wszystkich tych czynnościach i ruchach ludzkich, które mają widoczny rytmiczny charakter. Wszelka robota człowieka, *zwłaszcza niewynaturzonego*, jest ry-

tmiczna: przyczym rozciągłość tempa roboczego równa się rozciągłości tempa czynności sercowej i jest z nią spółrzędna w całości i w szczegółach."

Metoda nowa tak bardzo oryginalna i ciekawa znalazła już zastosowanie w całej Szwajcarji, a także w wielu miastach innych krajów, że wymienię tu tylko: Paryż, Londyn, Berlin, Hamburg, Amsterdam, Bruksellę, Frankfurt, Hagę, Darmstadt i t. d. W Szwajcarji zawiązało się Towarzystwo, złożone z pedagogów, muzyków, estetów, lekarzy, mające na celu propagandę idei Dalcroze'a i zaprowadzenie w szkołach miejscowych gimnastyki rytmicznej jako przedmiotu obowiązkowego.

Dalcroze powstaje przeciw dzisiejszemu jednostronnemu sposobowi wychowania, przeciw zbytniej abstrakcyjności nauczania. Pozostaje wprawdzie gimnastyka, która wprawia w ruch wszystkie mięśnie i przeciwważa poniekąd zajęcie wyłącznie umysłowe, lecz i ona grzeszy specjalizacją i ścisły stosunek między działalnością fizyczną i umysłową nie jest uwzględniony ani na lekcjach gimnastyki, ani na innych lekcjach. I tu leży punkt ciężkości nowej metody.

O wzajemnej zależności ciała i umysłu mówimy dużo. „Mens sana in corpore sana", któż nie zna i jednocześnie nie lekceważy tej maksymy? Jak dalecy jesteśmy w rzeczywistości od tego ideału, od tej harmonji tak znakomicie zrozumianej i zastosowanej przez starożytnych. Narody cywilizowane zarzuciły pewne naturalne i dla natury człowieka korzystne zwyczaje, które zauważyć można u tak zwanych niecywilizowanych. Np. mieszkanki Jawy bardzo gorliwie się zajmują ćwiczeniem stawów swych małych dzieci, bo Jawańczycy uważają giętkość członków za nieodzowną w życiu. Jeżeli dzieci Europejczyków mają niańki jawańskie, ich członki stają się również giętkie, a mię-

śnie i ścięgna również estetyczne, jak u dzieci miejscowych. Te dzieci zachowują następnie przez całe życie giętkość i elastyczność ciała, o ile nie przestają się ćwiczyć. A matki europejskie? Żadna z nich nie zna ciała swego dziecka, funkcjonowania członków i mięśni i żadna nie stara się, by je ćwiczeniu poddać. Brak ten jest często powodem rozstrojów nerwowych u dzieci, nie mówiąc już o sztywności członków w okresie wzrastania.

Dalcroze poleca gorąco w swej metodzie ćwiczenia, mające na celu samodzielność i niezależność członków.

Często dają się słyszeć utyskiwania na przeładowanie dzieci pracą umysłową z pominięciem potrzeb życia praktycznego. Jedni proponują, aby uczniowie niezależnie od szkoły uczyli się rzemiosł; inni pragną, aby dzieci uczyły się botaniki, gieografji, geologji na łonie natury; niektórzy nauczyciele chcieliby zwiedzać z uczniami muzea; inni są znowu za tym, aby uczniowie pracowali w polu, ogrodzie i t. d.

Wszystkie nowe ideje ożywia tu myśl, że szkoła powinna łączyć wiadomości oderwane z życiem praktycznym. Usunięcie tych samych braków w wychowaniu ma na widoku motoda Dalcroze'a. Wychodzi ona jednak z innych założeń naukowych, sięga o wiele głębiej: opiera się bezpośrednio na zrozumieniu i rozwinięciu natury człowieka.

Większość nowych teorji przyrodniczych, bez względu na ich ogromne sprzeczności zgadza się, że człowiek nie jest zlepkiem czynników odrębnych, oddzielnie duszą, a oddzielnie ciałem, że tworzy jedność psychiczną, przejawiającą się w objawach, zwanych przez nas duchowemi i cielesnemi. Z takiego stanowiska wola człowieka nie jest li tylko panowaniem ducha nad ciałem, ale i wywieraniem wpływu ciele-

Do art. Gimnastyka rytmiczna.

















snego na naszą stronę duchową. Na tym zrozumieniu woli opiera się specjalne jej zastosowanie, dające podstawę filozoficzną metodzie Dalcroze'a.

Ludzie nie uświadamiają sobie najczęściej, jak rozpowszechnioną w przyrodzie jest rytmiczność zjawisk: w świecie roślin spotykamy organizmy, wykonywujące bezwiednie ruchy rytmiczne, że wspomnimy tu o wahadlniku, którego liście ulegają ciągłym ruchom rytmicznym; śród zwierząt rzęski pierwotniaków, migawki nabłonka migawkowego, narządy oddechowe, serce poruszają się stale w sposób rytmiczny; przyczym w zależności od rozmaitych czynników zewnętrznych i wewnętrznych sam rytm ruchów ulega częstym i raptownym zmianom. Rytm był, jak wiemy, podstawą nietylko pieśni, nietylko tańców, ale przedstawień scenicznych, mowy wogóle, zaś w szczególności budownictwa u Greków.

W bezładzie zjawisk, w bezładzie swych instynktów, człowiek może wytworzyć porządek pewien przez wolę swoją, określającą zjawiskom rytm, nadającą harmonję. Spotęgować w człowieku taką wolę, którąby normowała przejawy natury ludzkiej i mogła je harmonizować, jest jednym z celów metody Dalcroze'a. Gimnastyka rytmiczna uwzględnia szczególnie:

1) Stosunek władz fizycznych do władz umysłowych.

2) Stosunek czasu, któremu podlegamy, do przestrzeni, która nas otacza.

3) Zgodność stosunków harmonijnych wyobraźni i ruchu.

Metoda rytmiczna uwzględnia rozmaite czynności życia dzieci. Uczą się one chodzić, mówić, śpiewać, wykonywać giesty naturalnie i ładnie, aby pozbyć się nieśmiałości i ruchów zbytecznych. Środkiem ku temu jest ruch, ten naturalny wyraz naszych

uczuć. Dążymy do tego, aby od dzieciństwa nasz mały ludek uczył się formować sąd i wolę na przyszłość, aby każde dziecko posiadało wolność swych czynów i było panem swych naturalnych środków wyrażania.

Życie konwencjonalne zadaje gwałt swobodnym ruchom, a moda wytwarza przyzwyczajenia nienaturalne. Czyż nie jest konwencjonalnością trzymanie rąk przy sobie z uszczerbkiem dla nieprzymuszoności? Przymuszoność i niezgrabność są wyrazem braku naturalności i prostoty. Nieporównana doskonałość ruchów w naturze, jak np. lot ptaków, lub bieg czworonożnych, jest tylko wyrazem naturalności i prostoty ruchów. W tym samym właśnie kierunku należy powoli doskonalić ruchy dziecka. Jeżeli gimnastyka rytmiczna usuwa powoli ruchy zbyteczne, regulując jednocześnie i doskonaląc ruchy właściwe, to w rezultacie otrzymamy rzeczywistą naturalność i prostotę. Otrzymamy jednak coś więcej. Zauważyć można, że sumienne wykonanie ćwiczeń rytmicznych wymaga takiej uwagi, iż na twarzy ucznia maluje się coraz większe skupienie i harmonja.

Pcnktem wyjścia dla metody Dalcroze'a jest muzyka. Wyczuwanie rytmu jest środkiem, który pozwala nam pojąć muzykę.

Wszyscy jesteśmy muzykami. Od szmeru ledwie uchwytnego do ryku przeraźliwego — niema jednego dźwięku, którýby nie zawierał się w muzyce, jeśli wypływa dobrowolnie ze wzruszenia, nie dającego się wypowiedzieć za pomocą słowa.

Wszyscy też posiadamy zawiązek pamięci rytmicznej. Czy poeta tworzy, czy kowal młotem kuje, lub drwal rąbie drzewo, wszędzie spotykamy rytm, poddajemy ruchy naszych członków pewnej miarowości, mechanizując w ten sposób czynności woli.

Jeden z myślicieli powiada: „Każdej czynności duchowej odpowiada czynność cielesna: każdemu ważniejszemu ruchowi ciała odpowiada praca duchowa.“ Rytm muzykalny polega z początku na ruchach świadomych, z czasem staje się odruchowym i z tego powodu zależy od równomierności ruchów i ich zharmonizowania. Gdy zdrowe, dobrze zbudowane dziecko wykazuje w chodzie nieprawidłowość, to taż sama nieprawidłowość odnajdzie się pod względem muzycznym w sposobie liczenia taktu. Jeżeli z postawionych czterech kroków, czwarty krok wypadnie krótszy, niźli pierwszy, to dziecko będzie miało skłonność grając przyśpieszać tempo; jeżeli ostatni krok jest dłuższy, to grający będzie zwalniał tempo. Człowiek, chodzący równomiernie, dokona też właściwie naturalnego podziału taktu w muzyce. Jeżeli kroki dziecka, które idzie śpiewając, nie trafiają dokładnie w takt śpiewanej melodji, to wtedy brak mu bezwarunkowo muzycznego poczucia taktu. Jeżeli nie może pomimo chęci akcentować należycie kroków, to brak mu naturalnego czucia rytmu. Otóż w podobny sposób, jak uczymy głuchoniemego, pokazując mu ruchy warg i języka, co jednak będzie dlań zawsze połączone z brakiem wrażeń dźwiękowych; można dziecku wrodzone poczucie rytmu zastąpić jego zrozumieniem, gdy się jego ciało przyzwyczaja do równomiernych ruchów. La Rochefoucauld mówi bowiem: „Duch nasz jest gnuśniejszy niż ciało i właściwe przyzwyczajenia ciała sprowadzają dodatnie wyniki duchowe.“ Otóż przyczyna często spotykanej arytmiczności polega na tym, że niejeden z nas nie jest panem swoich ruchów i nie umie wykonywać współcześnie ruchów odmiennych, a nawet nie może dwuch lub więcej ruchów wykonać jednocześnie, lub też szybko po sobie. Jeżeli dziecku, uzdolnionemu rytmicznie, polecimy szybko zmie-

nić położenie ciała lub momentalnie zastąpić jeden ruch przez inny, to zobaczymy, że po krótkim wahaniu dziecko to życzenie wykona; arytmicznemu dziecku dopiero po wielu powtarzanych wysiłkach uda się to uczynić, a trudniejszego zadania nie będzie w możności wcale wykonać. Z tego powodu należy arytmicznym dzieciom dawać do wykonania nawet takie ćwiczenia, które nie mają żadnej wartości estetycznej, a to w tym celu, ażeby stały się one panami swego ciała, aby umiały stopniowo jedne ruchy z innemi kombinować i nakoniec, aby mogły rozmaite ruchy wykonywać jednocześnie.

Alfą i omegą nowej metody są marsze. Poza stopami i nogami przy wybijaniu taktu wchodzą w ruch ręce i ramiona, a także dla utrzymania równowagi ciała górna część korpusu i głowa. Dzieci przy dźwiękach muzyki uplastyczniają, za pomocą odpowiednio usystematyzowanych ruchów, wszelkie wartości muzyczne i wszelkie kombinacje rytmów. Więc inny ruch mamy dla oddania nuty ♩, inny dla 𝅗𝅥, 𝅝, 𝅗𝅥 i t. d.

Ponieważ dziecko w czasie marszu, jak wykazały dokonane doświadczdnia, zużywa cztery razy tyle powietrza przy oddychaniu, co dziecko stojące, więc wskutek tych ćwiczeń gimnastycznych powstaje zwiększona potrzeba oddechu. Dalcroze też łączy z ćwiczeniami rytmicznemi chodu rytmiczne ćwiczenia oddechu, które pozwalają nauczycielowi usystematyzować czynność oddechową i wpłynąć na rozszerzenie klatki piersiowej.

Nieporównanym pomysłem tej metody jest nagła komenda: hop! Dziecko wykonywa pewne ruchy, a na hop! momentalnie ruch zmieniać musi. Hasło hop! utrzymuje uwagę wciąż w napięciu i doprowadza wolę do wysokiego stopnia rozwoju. Z chwilą, gdy składowe części rytmu zupełnie zostały przyswojone, wyko-

nywanie ich nie wymaga żadnego wysiłku, żadnego specjalnego skupiania uwagi; wówczas całą uwagę możemy zwrócić na hasło hop! i trzymać się wciąż w pogotowiu, w oczekiwaniu momentalnej zmiany ruchu. A wiemy z własnego doświadczenia, że członki naszego ciała niełatwo zwykły się poddawać rozkazom woli.

Lekcja gimnastyki rytmicznej powinna koniecznie sprawiać dzieciom przyjemność. Dziecko wita z radością wszelkie ćwiczenia cielesne; pobudźmy zatym to zainteresowanie i wyzyskajmy dla celów wychowania. Dziecko, często nie zdając sobie sprawy z tego, co może wykonać bez wielkiego wysiłku, staje się tchórzliwym i niezaradnym. Nauczyciel musi tłumaczyć zaraz od pierwszej lekcji dzieciom, że mają ręce i nogi, by wykonywać ruchy żywe i niezależne i że tym lepiej będą je wykonywały, im członki sprawniej będą wyćwiczone. Jak dziecko cieszy się, gdy doprowadziło członek przedtym niezgrabny do posłuszeństwa! Przyglądając się uważniej, przekonamy się, że zadowolenie dziecka, wywołane wykonaniem w sposób właściwy pewnego ruchu gimnastycznego, jest zarazem radością zwycięstwa, powodzenia;—uczucie pewności siebie bierze w nim udział.

Nauczyciel gimnastyki rytmicznej powinien unikać zbyt wielkiej specjalizacji, a mieć wciąż na oku stosunek tej metody do wychowania ogólnego. Gimnastyka Dalcroze'a, budząc niejako uśpioną w człowieku ową pierwotną, powszechną i zasadniczą w istotach żywych rytmiczność ruchów, wywierać może dodatni wpływ na różnorodne strony wychowania człowieka: doprowadza jego ruchy do względnie najprostszej i najnaturalniejszej postaci, czyni je najodpowiedniejszemi do osiągnięcia zamierzonego celu, a przez to nadaje

im pożądane w nich piękno i wdzięk; mięśnie ruchu dowolne doprowadza do momentalnego ulegania bodźcom woli, co sprzyja znakomicie zdolności panowania nad sobą; rozwija fantazję twórczą, dając jej zadania do urzeczywistnienia. Dzieci układają samodzielnie przykłady rozmaitych taktów i ich kombinacji; uświadamiając poczucie rytmu, ułatwia dziecku właściwą naukę muzyki. Zdaniem Dalcroze'a nauka rytmu powinna wyprzedzać naukę dźwięków: dzisiejszy sposób uczenia dzieci muzyki uważa za zupełnie niewłaściwy.

Rytm i plastyka to cel nowej metody. Zmierzając do takiego celu, gimnastyka rytmiczna może jednak zdążać do szerszych zadań: przyczyniać się do wychowania człowieka.

Porównywając gimnastykę rytmiczną ze zwykłą hygieniczną, niezaprzeczenie stwierdzić można, że pierwsza jest łagodniejsza, piekniejsza i że czynniejszemi w niej są pierwiastki ducha.

Teorja i zastosowanie metody Dalcroze'a zawarte są w dziele „Gymnastique rythmique. Methode Jacques-Dalcroze, oraz w licznych artykułach, z których wymienimy: „Pour la gymnastique rythmique". Robert Godet: „Erziehung zum und durch den Rytmus" Nina Gorter.

Franciszka Kutnerówna.

Kąpiele słoneczno-powietrzne dla dzieci i młodzieży szkolnej.

Za długą, ciężką, denerwującą pracę, jaką jest dla dzieci i młodzieży szkolnej zdobywanie w ciągu 10-ciu miesięcy w roku potrzebnej i zbytecznej wiedzy, czeka ją nadzieja, że będzie można wypocząć w ciągu lata, oderwać się od szarych, dusznych nieraz ciemnych i pełnych kurzu pomieszczeń, któremi są klasy i pokoje mieszkalne. I kiedy słońce zacznie przygrzewać, a w powietrzu da się uczuć swoisty powiew wiosny, zapomina się nieraz pod ich wpływem, że oto zbliża się czas sądu ostatecznego, który ma orzec, czy się jest godnym... przejścia do wyższej klasy. Jakaś siła żywiołowa, młodociano-nieokiełznana, pociąga młódź poza mury miasta, na pola o widnokręgu rozległym, do świeżej, wonnej zieleni, przepełnionego światłem powietrza.

Użycie tego okresu podniet przyrodzonych na zdawanie egzaminów jest krokiem wysoce niepedagogicznym; bowiem nakład pracy do wykonania tego średniowiecznego sprawdziana umiejętności ucznia jest naemiernie wielki, gdyż jego uwaga nie może być skupiona należycie na przedmiocie nauki, od której odrywa go wciąz powiew od lasów i pól. Ten gwałt,

jakiego dopuszcza się szkoła nad młodzią, i to po całorocznym wyczerpaniu jej nauką, odbija się nader ujemnie na całym stanie nerwowo-umysłowym ucznia.

Do tej sprawy powrócę innym razem. Dziś chcę tylko wyjaśnić, co znaczy ten popęd do budzącej się przyrody. Nie będę zbijał zapatrywań pedagogów starej daty, którzy uważają ten przejaw psychiczny za dowód lenistwa, niechęci do pracy, zamiłowania do wykroczeń, niosących szkolne nomen technicum „wagary.“ A wspominam o nich dlatego jedynie, że je uważam za zabytki, skazane na zagładę, po których powinien zostać ślad na papierze dla przyszłego dziejopisa. Wszak moje pokolenie wyrosło właśnie pod kierunkiem takich mumji pedagogicznych, a nasze dzieci nie spotykają ich już prawie zupełnie.

Pogląd współczesny sprowadza się do tego, że człowiek podlega na równi z całym światem ożywionym wpływowi budzącej się przyrody. Chociaż więc młodzież, a zwłaszcza dzieci, mają zawsze skłonność iść za głosem „Kirgiza“ i mówić: „...ciemno, pusto jak w grobie żyć zamkniętym w ścian czterech niewoli. Mnie tu nuda zabije!... Ha, tam chyba ożyję, gdzie powietrza, gdzie stepów dowoli!“—jednak warunki życia miejskiego nie pozwalają czynić tej potrzebie zadość! Tłumiona w ciągu długiej jesieni i zimy, wybucha ona tym gwałtowniej, gdy słońce zacznie przyświecać i grzać silniej.

I nie o zaciekawienie przemianami, zachodzącemi w przyrodzie, tu chodzi, a przynajmniej — nie o nie wyłącznie; bo chociaż ruch nasuwa więcej materjału do spostrzeżeń, niż bezwład, jednak młódź pochłonięta jest tu przeważnie odczuwaniem, a nie badaniem, mogącym zadowolić w znaczniejszej mierze tylko umysł dojrzały.

Sprawcą całej przemiany w nastroju młodzieży jest prawie wyłącznie słońce, podobnie jak jest spraw-

cą rozwoju, który uwydatnił się w całej przyrodzie. To zdanie powtarzamy nieraz nawykowo, jak pacierz, nie pojąwszy dostatecznie jego znaczenia. Bo chociaż troszka wiedzy przyrodniczej, w którą zaopatrzyły nas szkoły, pozwala nam zrozumieć, że różnorodne przejawy siły, spotykane w świecie ożywionym i w nas samych, są właściwie tylko przeobrażoną postacią energji słońca, jednak nie umiemy powiązać tego jakoś z bezpośrednim oddziaływaniem jego promieni na nasze ciało. Cóż z tego, że pod ich wpływem odbywa się tworzenie związków chemicznych, złożonych przy udziale barwnika zielonego (chlorofil.) roślin, skoro w ustroju człowieka niema tego chlorofilu? Otóż zapominamy, że barwnik naszej krwi (haemoglobina) stanowi zupełną analogję z barwnikiem roślinnym i może pełnić tę samą pracę syntetyczną, czyli może przyswajać i wprawiać w stan napięcia w naszym ustroju energję słońca. Chodzi tu tylko o to, żeby promienie słońca miały przystęp do krwi: Ustrój ludzki jest pod tym względem w warunkach gorszych od roślinnego, ponieważ krew krąży, a chlorofil jest prawie nieruchomy i błona, oddzielająca go od powietrza, jest znacznie cieńsza i bardziej przezroczysta, niż warstwa rogowa skóry. Dlatego też pochłanianie energji słońca przez ustrój zwierzęcy jest stosunkowo niewielkie. Ograniczamy je bardzo znacznie przy pomocy odzienia. Każde okrycie ciała utrudnia w równej mierze dostęp światła do skóry. Fizyka uczy nas, że największe znaczenie ma tu barwa odzienia: kolory ciemne powstrzymują przedostawanie się promieni świetlnych, jasne zaś przepuszczają je swobodnie. Jest więc zrozumiałe, że zwyczaj powszechny noszenia ubrań ciemnych nie może wpłynąć dobrze na naświetlanie skóry, a więc i na umożliwienie przeobrażania w niej energji słońca.

W okresie wzrostu i rozwoju organizmu, kiedy skóra dziecka jest delikatna, cienka, łatwiejsza do prześwietlenia, a więc warunki bezpośredniego chłonięcia energji słonecznej są bardziej sprzyjające, krzywda, wyrządzana ustrojowi przez noszenie ubrania ciemnego, zaznacza się wyraźniej, niż w wieku dojrzałym, kiedy te warunki anatomiczno-fizjologiczne są mniej korzystne. A jednak przyjrzyjmy się wzorom ubrań, obowiązujących w szkołach męskich i żeńskich: rzadko spotyka się tam barwy jaśniejsze, przeważnie zaś ciemne i czarne. Nie jest to rzecz przypadku. Względy praktyczne rozstrzygają tu, bo „jasne ubranie brudzi się prędko, a pranie kosztuje drogo.“ Z iście dziecięcą naiwnością, czy też z prawdziwie księżowską obłudą traktuje się tę sprawę, nie dbając bynajmniej o to, jaka jest sama rzecz, lecz jedynie—jaką się wydaje, za jaką uchodzi. Cóż z tego, że hygjenista dowiedzie, iż ciemne ubranie jest przesiąkłe potem, kurzem, wydalinami, pasorzytami, skoro tego nie widać!!

Wobec braku światła, który daje się we znaki zwłaszcza w dużych miastach, konieczne jest nietylko noszenie jasnych, lekkich ubrań, lecz i odsłanianie jak największej powierzchni skóry dla bezpośredniego dostępu promieni. I znowu dla dzieci i młodzieży są te wskazania nieodzowne. A jednak moda i strój idą w kierunku wręcz przeciwnym: wysokie, sztywne kołnierze, ciężkie krawaty i chustki, fantastyczne grzywki i fryzury, zakrywające czoło i twarz, krepy, dokończające tego dzieła „wstydliwości niewieściej,“ wąskie rękawy, obcisłe rękawiczki i obuwie i inne dodatki zewnętrzne lalek żywych utrudniają dostęp światła i powietrza do skóry. Czas już wielki, żeby szkoła zwróciła uwagę na te sprawy. Na pierwszy początek należałoby wprowadzić obszerne, przewiewne ubrania, nie obciśnięte przy zakończeniach, powinny

być zniesione kołnierzyki, krawaty, rękawiczki, mankiety i wprowadzone płytkie pantofle lub trepki bez pończoch przynajmniej w ciepłych porach roku; potym dadzą się one zastosować z pewnemi zmianami i w zimie.

Te zmiany są do przeprowadzenia. Doświadczenie nauczyło mnie, że nietylko dzieci, bardzo skłonne do ich przyjęcia, ale nawet dorośli poddają się temu kierunkowi, o ile inicjator da sam dobry przykład. A właśnie wprowadzenie takiej reformy odzieży jest niczym innym, tylko stałą kąpielą słoneczno powietrzną, którą podnosi przyrodolecznictwo do miana zabiegu leczniczego, a t. zw. medycyna, naukowa, hodująca wiarę przesądną w skuteczność miksturek, kropelek i pigułek, zwalcza jako współzawodnika groźnego. I obydwa te stanowiska są błędne: kąpiel słoneczno-powietrzna nie jest zabiegiem leczniczym, jak to wskazały badania [1]), lecz zabiegiem hygienicznym, oddziaływającym tym silniej, im dłużej był go ustrój dany pozbawiony; zasklepienie się zaś w lecznictwie farmaceutycznym z pominięciem hygjeny stanowi ciężką winę współczesnej sztuki lekarskiej.

Rozumiemy teraz, co znaczy popęd młodzi do zbliżenia się z budzącą się przyrodą. Jest to dążność instynktowna do żywiołów: światła i powietrza, bez których niema życia. Jeden z tych żywiołów zyskał już aprobatę świata wychowawców: zaleca się wyjazdy na „świeże powietrze“ dla młodzieży miejskiej; gdy zaś jej nie stać na ten wydatek, daje się surogaty— ogrody i wycieczki za miasto. Ale w tych wskazaniach dźwięczy wyraźnie nierozumienie zjawisk, pole-

[1]) Patrz broszurę moją: „Kąpiele słoneczno-powietrzne“ str. 40. Księg. M. Arcta 1907.

ganie na grubej empirji„ że dzieci poprawiają się na tym „świeżym powietrzu,“ Ta „świeżość“ jest przeciwstawieniem zanieczyszczeniu powietrza przez kurz, pył, wyziewy, drobnoustroje. Znaczy to, że się ma na względzie jedynie płuca, nie przypuszczając ani na chwilę, że inny jeszcze jaki narząd może zyskać bezpośrednio na zetknięciu się z przyrodą. Jest to taki poziom rozumowania, na jakim stałby np. chory, pragnący dostać się do zbiornika, napełnionego czystym tlenem, w nadziei, że uleczy się z duszności.

W tych zaleceniach świeżego powietrza nie przebija się nawet przebłysk świadomości, jaki wpływ wywierać może światło na skórę i przez to na cały ustrój. Ubiór dzieci stwierdza to dowodnie. I chociaż spotykamy już młodzież szkolną w jasnych, wygorsowanych ubrankach, nawet w trepkach i sandałach, jednak skłonny jestem uważać to raczej za przejaw mody, niźli istotnego zrozumienia, że trzeba dać dziecku słońce. Jeśli kto ma wątpliwość w tym względzie, niech przyjrzy się bardziej odzieniu, a napewno znajdzie w nim ciemne lub czarne podszewki, halki, pończochy, paski, naszywki, wyłogi i t. p., jak gdyby nie było rzeczą obojętną dla skóry, czy warstwa, nieprzepuszczająca promieni światła, znajduje się na wierzchu, czy pod spodem, i jakgdyby nie obchodziły ją jedynie, jaka jej część jest naświetlona, a jaka pogrążona w ciemności.

Popęd żywiołowy do zetknięcia się ze słońcem i powietrzem jest stale zwalczany i trzebiony przez narzucone formy towarzyskie w tej samej mierze, jak sąd niezależny i spostrzegawczość — przez rutynę dogmatyczną, poglądy i wierzenia narzucone, urągające zdrowemu rozsądkowi. Dlatego też człowiek zatraca z biegiem lat ten popęd i... wyrodnieje. Otrząśnięcie się z tego stanu stanowi potrzebę chwili. W tym kie-

runku wyprzedziły nas narody bardziej kulturalne. Nie mówiąc już o reformie ubrania, najwymowniejszej w wielu miejscowościach leczniczych, uzdrowiskach i zakładach, gdzie lekkie odzienia flanelkowe lub płócienne mężczyzn i szlafroki kobiet, bose lub obute jedynie w trepki stopy uzyskują równouprawnienie z odpowiednim pokryciem ciała dzieci, zaznaczyć trzeba, że same Niemcy liczą już setki zakładów dla kąpieli słoneczno-powietrznych, w których wynagradza się skórze jej długotrwałe pogrążenie w ciemności i zaduchu przez całkowite jej obnażanie.

Wpływ tego chodzenia, leżenia, gimnastykowania się nago na działalność ustroju jest zbawienny. Badania kilkoletnie, jakie w tym kierunku przeprowadziłem na zdrowych i chorych, wskazują, że zabieg ten hygjeniczny może być stosowany z pożytkiem niemal u wszystkich ludzi bez wyjątku, niezależnie od ich wieku, stanu zdrowia, warunków życia. Co się tyczy wieku szkolnego, to podkreślam jeden fakt znamienny: Objawy zołzów (skrofuły), krzywicy, niedokrwistości zmniejszają się bardzo wyraźnie pod wpływem naświetlania skóry przez promienie słońca. Dane porównawcze wskazują, że kąpiele słoneczne wywierają wpływ o wiele lepszy, niż kąpiele solankowe, stosowane u naszych dzieci z nieubłaganą szablonowością, pomimo opozycji skóry, która pokrywa się nieraz wypryskami, pomimo ogólnego osłabienia i zdenerwowania dziecka. Można więc obejść się w wielu przypadkach bez zdrojowisk i uzdrowisk, których własności cudotwórcze są reklamowane bardzo gorliwie, można uniknąć ich jarmarczno-odpustowego ścisku, przeludnienia, drożyzny, wyzysku, niewygód, można znaleźć zdrowie i poza niemi. I nie potrzeba na to ani zakładów leczniczych, ani stałej opieki lekarskiej, ani kosztownych urządzeń, przyrządów, leków. Wystarcza

zwykła wieś, trochę drzew, ogród, brzeg piasczysty strumienia, rzeczułki, jeziora, a tam, gdzie i one są niedostępne—wprost okno w pokoju słonecznym.

Powinniśmy się dźwignąć z nastroju człowieka pierwotnego, otoczonego zewsząd tajemniczością, zagadkami, cudami. Wiele zjawisk jesteśmy już w stanie zrozumieć i przekonywamy się, że tylko mędrkowanie i brak zaufania we własne siły opóźniły moment poznania. To właśnie tyczy się w zupełności kąpieli słonecznych, które stosowaliśmy wszyscy popędowo w dzieciństwie, znalazszy się w odpowiednich warunkach, a z których nasi „uczeni profesorowie“ i „wzięci“ lekarze zrobili rozprażanie się na słońcu w czarnym ubraniu lub w takim samym okryciu. Ten zabieg napotny, zbliżony do łaźni suchej, ma prócz innych jej stron ujemnych tę jeszcze, że rozprażanie ciała jest nierównomierne. Ale nazwać to kąpielą słoneczną może tylko profan zupełny. A jednak takie właśnie zabiegi bywały dotychczas przemycane pod jej dobrym imieniem, chociaż możemy się pochwalić, że już Chałubiński stosował ten zabieg we właściwej postaci.

Powiew, idący od lasów, wód i pól, wzywa naszą młódź, aby szła za nim na przestworza otwarte, gdzie sklepienie nieba styka się z widnokręgiem, a nad ziemią promienieje słońce życiodajne. Nie powstrzymamy popędu młodzi przyrody, budzącej się z uśpienia. Zrozumiejmy więc, że wszelkie przeciwdziałanie temu popędowi jest gwałtem, krzywdą.

Dr. W. Miklaszewski.

Sprawy szkolne.

Egzaminy dla nowowstępujących. — Parę uwag nad bussinesem szkolnym: bussines a uczniowie, bussines a nauczyciele. — Płace nauczycielskie.—Redukcja oddziałów równoległych.

W chwili kiedy czytelnicy dostaną do rąk numer obecny, szkolnictwo polskie znajdować się będzie w okresie zakładania podwalin nowego roku szkolnego. Najważniejszą częścią tej pracy są niewątpliwie egzaminy dla nowowstępujących, decydujące o przyszłym zapełnieniu, a więc i prosperowaniu szkoły. Utarło się obecnie, że egzaminy te odbywają się w dwuch terminach: przed wakacjami i po wakacjach. Jakkolwiek zwyczaj taki powoduje pewne utrudnienie w prowadzeniu pracy szkolnej, pociągając za sobą podwójną pracę nauczycieli, stratę czasu, a tymsamym uszczuplenie okresu, przeznaczonego na nauczanie, szkoły nasze nie mają obecnie innego sposobu wyjścia. Publiczność nie przyzwyczaiła się jeszcze do oddawania dzieci do szkół wyłącznie przed wakacjami. Niejeden rodzic, mając dziecko nieświetnie przygotowane, liczy na parę miesięcy, zabójczej wprawdzie dla organizmu dziecka, pracy letniej, na większą łatwość zdobycia w tym czasie nauczyciela i przeznacza dziecko do egzaminu dopiero na jesieni. Niejedno dziecko, które odpadło przy egzaminach majowych, poddane kurateli

wakacyjnej idzie następnie po raz drugi przez czyściec egzaminowy na jesieni.

Po za tym szkoły polskie do ostatnich czasów w stosunku do uczniów hołdowały zasadzie „im więcej, tym lepiej."

Klasy niższe zapełniano też w miarę napływu uczniów i przed i po wakacjach, a konieczność posiadania pełnego kompletu w każdym oddziale była również przyczyną, zmuszającą do urządzania powtórnie egzaminów po wakacjach.

Trzeba przyznać, że powyższy stan rzeczy zawiera dla szkół naszych i inne poważne niedogodności oprócz wspomnianej straty czasu. Niejednokrotnie dobór egzaminowanych kandydatów przed i po wakacjach bywa bardzo różny. Szkoła, pragnąc zapełnić klasę przed wakacjami, nie przebiera zbytnio śród kandydatów wiosennych, a po wakacjach dla braku miejsca często nie może przyjąć dzieci istotnie dobrze przygotowanych. Odwrotnie, mając już zawiązek klasy na podstawie egzaminów majowych, szkoła musi ją dokompletować na jesieni, dobierając byle jakich kandydatów. Rzadko która szkoła, bo tylko oparta na silnych podstawach materjalnych, może nie ulegać klęsce powyższej przy niepomyślnym zbiegu okoliczności. Taki stan rzeczy wytworzył natomiast szczególnego rodzaju spekulację egzaminową śród rodziców, oddających swe dzieci do szkoły. Spekulacja ta, podobnie jak niegdyś przy braku szkół i egzaminach konkursowych, polega na tym, że dziecko przychodzi do egzaminu naraz w kilku szkołach. Praktykują to zwłaszcza rodzice dzieci źle przygotowanych, a takich, trzeba przyznać, jest śród kandydatów do szkoły polskiej aż nadto dużo. Następuje licytacja egzaminowa in minus. Dziecko odpada na egzaminach w szkołach bardziej wymagających i mających możność dobrania kom-

plet u kandydatów odpowiednich. Są za to zawsze szanse przyjęcia do szkoły, mającej mniej kandydatów lub bardziej polującej na uczniów i stąd niezbyt wymagającej. W razie nieudania się eksperymentu przed wakacjami rzecz zostaje powtórzoną po wakacjach ze skutkiem niezawodnym. W rezultacie: spekulacyjny charakter szkół, konieczność dobrania potrzebnej liczby uczniów, egzamin konkursowy in minus wpływają na to, że rodzice częstokroć niebardzo dbają obecnie o przygotowanie młodzieży, licząc na „swoje pieniądze,“ bez których szkoła polska istnieć nie może. Wyradza to w wielu szkołach znaczne obniżenie poziomu umysłowego uczniów, a co za tym idzie poziomu nauczania.

Bussines, którego smutną ofiarą jest wciąż szkoła polska, staje się powodem wielu objawów nienormalnych, którym ta szkoła ulega. Jednym z objawów takich, paraliżujących w znacznym stopniu działalność szkoły i obniżających jej poziom, jest stosunek bussinesu do uczniów i tych ostatnich do bussinesu szkolnego. Jakkolwiek nie chcemy tego uogólniać bezwzględnie, możemy jednak powiedzieć z czystym sumieniem, że statek, na którym publiczność wiezie swoje dzieci do szkoły polskiej, płynie pod banderą z napisem: „za moje pieniądze moje dziecko w każdej szkole znajdzie miejsce.“ Ta stylowo mieszczańska bandera powiewa wprawdzie nad kształceniem młodych pokoleń od czasu znacznie dłuższego niż istnienie szkoły polskiej, gdy jednak dawniej sens jej dawał się streścić w jednym słówku „łapówka“, obecnie posiada on znaczenie zgoła inne. Gdy dawniejszy przedsiębiorca lub kierownik szkoły wymagania normalne czynił środkiem wyzysku rodziców i źródłem

nieprawnych dochodów własnych (stopnie i promocje za pieniądze), to dzisiejszy odwrotnie staje wobec konieczności obniżenia wymagań i tolerowania lenistwa i lekceważenia szkoły przez uczniów gwoli utrzymaniu pozycji dochodów na pożądanej wysokości. W szkołach, będących tego rodzaju ofiarą własnego bussinesu, rzecz taka pozostaje w ukryciu i mści się tylko na ogólnej renomie szkoły. Trzeba zaznaczyć, że najczęściej klęsce takiej ulegają szkoły prowincjonalne o ograniczonym kontyngensie kandydatów, a ściśle z góry preliminowanym budżecie. Ujawnia się natomiast zazwyczaj cała ohyda korupcji powyższego typu w szkołach od niej wolnych, o których progi coraz to uderzają ofiary takiego stanu rzeczy. Niezmiernie często bowiem uczeń, deprawowany systematycznie przez szkołę bussisową, a w końcu i tam nawet nie mogący się utrzymać, idzie do szkół innych, aby wykazać całą pustkę umysłową pomimo znacznych kwalifikacji na papierze, a nieraz i znakomite wady charakteru. Zazwyczaj okazuje się on tu niezdolnym do dalszego postępu w naukach równolegle z towarzyszami i nie jest w stanie znieść zdrowej atmosfery szkolnej wskutek zatrucia swej jaźni duchowej w szkole bussinesowej. Tym sposobem musimy skonstatować fakt, że i szkoła polska nie jest wolna od rodzaju łapownictwa odwrotnego w postaci kokietowania uczniów, które ma ten sam skutek, jak łapownictwo zwyczajne: demoralizację młodzieży i wydawanie ludzi, wykwalifikowanych na papierze, a w istocie zgoła nie przygotowanych do życia i jego zadań.

Innym chorobliwym objawem w szkole polskiej, będącym wynikiem jej geszefciarskiego charakteru, jest stosunek szkoły do nauczycieli pod względem materjalnym. Szkoła bussinesowa nigdy nie jest w stanie zawczasu dobrać sobie potrzebne i odpowiednie

grono nauczycielskie, ani zapewnić nauczycielom zaangażowanym, że będą mieli pracę i płacę, na które się zgodzono. Wszystko to bowiem zależy od liczby uczniów, których szkoła będzie mogła przyjąć. Wobec dwukrotnych egzaminów wstępnych, wobec ustawicznego przenoszenia się uczniów za swoje pieniądze z jednej szkoły do innej „dogodniejszej“, szkoły i ich przedsiębiorcy zmuszeni są do dwojakiego trybu postępowania: albo do zawierania umów z nauczycielami w ostatniej chwili po wakacjach, albo do niedotrzymywania zobowiązań, wziętych na się w czasie właściwym. Jedno i drugie dla nauczycieli jest w najwyższym stopniu uciążliwym i w znacznej mierze powoduje znane rozstrzeliwanie się nauczycieli w Warszawie na kilka i kilkanaście zakładów naukowych. Wyobraźmy sobie bowiem sytuację nauczyciela, który wiedząc, że może mieć lekcje nadal w szkole, w której wykłada, niema jednak jeszcze w końcu czerwca, czasem sierpnia pewności, czy te lekcje i w jakiej liczbie godzin mieć będzie. Jeżeli nauczyciel ten jest obarczony rodziną, jeżeli lekcje są całym jego utrzymaniem, to możemy domyślać się, jak potężną depresję moralną stanowi dla niego ta absolutna niepewność jutra. Jeszcze gorszym może jest jednak los nauczyciela, któremu pewna szkoła przyobiecała tyle a tyle godzin lekcji dość wcześnie np. w maju. Nauczyciel taki ułożył swój budżet, dobrał potrzebną mu jeszcze liczbę lekcji w szkołach innych, *bardzo często odmówił przyjęcia całego szeregu godzin*, które mu proponowano, aby nagle w początku września, gdy wszystko wszędzie jest zajęte i obsadzone, dowiedzieć się, że będzie mógł otrzymać zaledwie połowę umówionych godzin i wynagrodzenia „z braku uczniów“ i zwijania klas. Przed takim nauczycielem otwiera się perspektywa braku potrzebnego zarobku w ciągu całego roku szkolnego

i niemożności wystarczenia na utrzymanie rodziny. Trzeba zaznaczyć, że sytuacja podobna staje się pospolitą zwłaszcza przy tak zwanych lekcjach prywatnych: domowych i w kompletach. Zwłaszcza w czasach ostatnich, gdy wiele rodzin w ciągu lata miało powody „rozmyślić się“ co do powrotu do Warszawy na zimę, bardzo wielu nauczycieli było narażonych na tego rodzaju zawód. Tymczasem praca nauczycielska to ma do siebie, że o ile kto nie zapewni sobie zajęcia przed wrześniem, lub straci je w tym terminie, to może być pewny, że chyba wyjątkowo zdoła znaleźć jakąbądź lekcję w ciągu roku. Ten stan rzeczy jest tak dalece oczywistym, że nawet sądy w razach, gdy zawiedzeni nauczyciele zgłaszali do nich swe pretensje, stawały po stronie nauczycieli, przyznając im wynagrodzenie roczne umówione, pomimo iż żadnych lekcji nie dawali.

Ustalenie się zasady, że umowa, zawarta z nauczycielem na przeciąg roku szkolnego z płacą za godzinę, jest nienaruszalną i w każdym razie pociąga za sobą wypłatę pensji rocznej, jest niezbędnym warunkiem bytu nauczycielstwa prywatnego. Szkolnictwo polskie musi tę zasadę wcielić integralnie do ogólnych podstaw swej organizacji, jeżeli nie ma pozostać pospolitym, spekulującym na płacy najemnej bussinesem. Jednocześnie konieczną jest taka organizacja szkolnictwa, która wyklucza niespodzianki zwijania całego szeregu oddziałów, lub ich nagłego otwierania z roku na rok.

Odpowiedzialność za zawartą umowę może być hamulcem, powstrzymującym rozliczanie na uczniów, którzy, zdając w szeregu szkół z dobrym rezultatem, do jednej z nich tylko uczęszczać będą mogli. Ale poczuwanie się do tej odpowiedzialności powinno również nie pozwalać przedsiębiorcom szkolnym na

odkładanie umów do ostatniej chwili. Powoduje to bowiem nader wielką niepewność bytu nauczycielstwa, która może spowodować odpływ od tego fachu sił niezbędnych i zubożenie pod tym względem naszej szkoły.

Ale przedsiębiorcy szkolni będą się liczyli z tym względem wtedy dopiero, gdy znalezienie sił nauczycielskich po wakacjach z jakiegobądź powodu stanie się niemożliwością.

Wielokrotnie i w różnych miejscach pisano już o płacy zarobkowej nauczycieli. Za każdym razem wskazywano na nader nizki jej poziom i na niemożność utrzymania się z rodziną przy 50—60 rb. płacy za godzinę. Arystokracja nauczycielska twierdziła wówczas, że pisanie o 50—60 rublowych lekcjach jest podawaniem wzoru, deprecjonującego wyższe płace, jakie ta arystokracja pobiera (od 75 do 120 i 150 rb. za godzinę roczną). Okazuje się jednak, że oprócz arystokracji, oprócz stanu średniego posiada zawód nauczycielski również swą demokrację, ba, nawet swój proletarjat. Posiadamy dane, stwierdzające fakt, że w Warszawie znaleźć można całe dziesiątki szkół i pensji, płacących po 40, 30 a nawet 15 i 10 rb. za godzinę roczną. Wystawmy sobie zakład naukowy, w którym obok kilku nauczycieli markowanych i robiących szkole renomę, za co pobierają 75 — 100 rb. za godzinę, reszta odbiera w dyskretnych kopertach, co miesiąc rozdawanych uprzejmie przez przełożonego, płacę w stosunku 10 — 15 i 25 rb. za godzinę. Ta reszta wstydzi się przytym przyznać pomiędzy sobą do stopy pobieranego wynagrodzenia, a pracując ciężko i nieraz wcale niezgorzej wywiązując się ze swego obo-

wiązku, jest — zadowoloną ze swego losu i uniemożliwia walkę o normalne płace za pracę nauczycielską.

Taki stan rzeczy należy wytłumaczyć. W społeczeństwie naszym nie brak osób, które posiadając wykształcenie średnie, mają wszelkie kwalifikacje formalne do nauczycielstwa prócz świadectwa, którego uzyskanie jest również pewnego rodzaju formalnością. Osoby takie, poświęcając się fachom innym np. kasjerstwu sklepowemu, handlowi, nauczycielstwu domowemu na prowincji, mogą rozliczać najwyżej na uzyskanie 30 do 50 rb. pensji miesięcznej przy całodziennej blisko 12-godzinnej pracy — niewoli. Uzyskując świadectwo nauczycielskie, osoba taka może rozliczać na znalezienie 5 godzin lekcji dziennie, czyli 30 godzin tygodniowych płatnych po 15 rb., co czyni 45 rb. miesięcznie przy 5-ciu tylko godzinach pracy dziennej i przy 2 miesiącach niepłatnych wakacji. 20 rubli za godzinę czyni już 60 rb. miesięcznie, czyli dwa razy więcej przy dwa razy krótszej pracy, niż osiągnąć może całe mnóstwo kobiet zwłaszcza, pracujących we wszelkiego rodzaju zawodach wyzwolonych i niewyzwolonych w stosunkach t. zw. zarobkowania rodzinnego. W tego rodzaju kombinacji mieści się: 1) tajemnica istnienia u nas bardzo licznych zakładów naukowych nierozgłośnych, lecz dających dobre utrzymanie, a nawet pozwalających na robienie oszczędności swym przedsiębiorcom; 2) tajemnica, dlaczego stan nauczycielski wogóle nie umie walczyć o płace zarobne, a lubi ukrywać stopę pobieranego wynagrodzenia i 3) tajemnica nizkiego stanu naukowego i pedagogicznego wielu naszych zakładów naukowych.

Szkolnictwo polskie w chwili swego powstania hołdowało pewnej zasadzie idealnej, która szczęśliwie godziła się najzupełniej z materjalnemi interesami szkół. Zasadą tą było mniemanie, że szkoła powinna przygarnąć jaknajwiększą liczbę młodzieży, że wtedy dopiero spełnia ona należycie swój społeczny obowiązek. Istnienie tej zasady było zrozumiałe, jako naturalna reakcja po czasach, kiedy dostęp do szkół wobec szczupłej ich liczby był wielce utrudniony, kiedy szkoła więcej nierównie młodzieży usuwała ze swych murów, niżeli obdarzała patentami. Było ono też zgodne z powszechną świadomością naszego zacofania na polu oświaty, i z rozpędem do powetowania 40-letniej niemocy oświatowej.

W rezultacie zasady powyższej wiele szkół polskich zostało przepełnionych, rozrosło się do rozmiarów olbrzymich (po 1200 uczniów niekiedy), przyczym kwestja, „jak uczyć“ poszła na plan drugi wobec hasła: „uczyć jaknajwięcej dzieci.“ Oczywiście kwestja wychowania zejść musiała przy tym już na plan o wiele dalszy.

Obecnie mnożą się znaki, że po przypływie, powyżej naszkicowanym, następuje odpływ. Ze wszystkich stron dochodzą wiadomości, że szkoły zwłaszcza prowincjonalne ograniczają liczbę oddziałów do stałej normy minimalnej. W bardzo wielu szkołach zwijanym jest jeden lub kilka oddziałów.

Zjawisko takie na pierwszy rzut oka wydaje się niepomyślnym: szkoła jakgdyby uchybia swemu zadaniu społecznemu, zwęża swoją działalność, swe promieniowanie. Jednocześnie rzecz odbija się ciężko na nauczycielstwie, bowiem zwijanie oddziałów powoduje odpadanie znacznej liczby godzin i obniżenie normalnego zarobku nauczycieli.

Ale bliższe wejrzenie zdaje się wskazywać, że ściślejsze określenie przez szkoły zakresu, w jakim akcję społeczną mogą prowadzić, jest w bezpośrednim związku z wytworzeniem warunków poprawy naukowego, a nadewszystko wychowawczego poziomu szkół. Praktyka wykazała bowiem, że nazbyt ludne szkoły nie mogą sprostać częstokroć obu zadaniom powyższym. Rzecz prosta, że zmniejszenie liczebności uczniów nie przesądza tej poprawy, ani nie określa jej kierunku.

Poza tym umożliwia ono wyrobienie się całego długiego szeregu szkół o działalności w rozmiarach ustalonych, a wyzwalając pewną ilość dzieci, które się do tych szkół nie dostaną, pozwala na powstanie szkół nowych. Pod tym względem redukcja zarobku nauczycielskiego wydaje się nam przeważnie przejściową, do czasu powstania szkół nowych. Musimy za to potwierdzić zdanie, że lepiej jest mieć dużo szkół małych, aniżeli kilka nieokreślenie wielkich. Jest to warunkiem, zmierzającym do usunięcia nieokreśloności zarówno w stosunkach nauczycielskich, jak w stosunkach organizacji szkolnictwa. Za to nie możemy się zgodzić ze zdaniem powtarzanym już kilkakrotnie przez jednego z nauczycieli na łamach „postępowego“ niestety dziennika z okazji różnych niedomagań szkoły naszej, że „za dużo“ mamy szkół. Mamy za dużo szkół dla zamożnych, szkół drogich, mamy za dużo szkół ogromnych, ale szkół mamy wciąż mało dla tych potrzeb, które ujawnia nasze społeczeństwo, i dla tego zaniedbania, w którym ono pod względem oświaty pozostaje.

Z LITERATURY.

1) Dr. .E Romer: Mała gieografja handlowa. Lwów, 1907. 2) Antoni Sujkowski: Gieografja ekonomiczna. Część I-a ogólna. Warszawa 1907.

Od czasu ukazania się Gieografji Handlowej prof. F. Szwarzenberg Czernego, napisanej bardzo pracowicie lecz nieudolnie, upłynęło już blizko lat 20 i książka ta uległa przestarzeniu; tymczasem wciąż wzrastająca doniosłość podstaw gospodarczych dla życia narodu, potrzeba ich poznania, zrozumienia i umiejętnego użytkowania, a więc potrzeba odpowiednich dzieł, któreby mogły służyć w tym celu jako przewodniki, wywołała pojawienie się dwuch książek wyżej zatytułowanych.

Obie mają tą cechę wspólną, że są napisane przez autorów, znających gruntownie swój przedmiot i władających wybornie formą jasnego i zwięzłego wykładu; różnią się zaś widocznie celem (choć ten nie został przez autorów wymieniony), a stąd zakresem i poziomem, oraz formą wykładu—pierwsza jest traktowana popularnie, à vol d'oiseau; druga—specjalnie i systematycznie.

Książka prof. Romera (o 95 tylko stronicach) przeznaczona jest widocznie bądź dla uczniów klas niż-

szych, jako dopełnienie kursu gieografji powszechnej, bądź, co jeszcze prawdopodobniejsza, dla samouków niższego poziomu; rozpoczyna się na 8-u pierwszych stronnicach „wiadomościami wstępnemi“, zawierającemi całkiem elementarne, dogmatycznie wyłożone wiadomości z gieografji ogólnej, z pewnym już względem na to, że mają one służyć za podstawę dla gieografji *handlowej* krajów. Ta ostatnia w książce prof. Romera zaczyna się od Austro-Węgier, poczym idą ziemie dawnej Polski i reszta krajów (państw) europejskich; a dalej bardzo krótko—Azja, Afryka i Ameryka (Australja jest traktowana, jako kolonja, przy Wielkiej Brytanji). Przy końcu książki pomieszczony jest statystyczny przegląd państw, oraz statystyka najważniejszych gałęzi produkcji; wreszcie mapki schematyczne Europy, ziem Polskich i całej ziemi (w rzucie Merkatora), uzmysławiające głównie rozkład najważniejszych linji komunikacyjnych.

Książeczka ta, jakkolwiek popularna, zdradza gruntowną znajomość przedmiotu, wszechstronne wykształcenie i wielką zdolność uogólniań; pod względem formalnym cechuje ją niezwykła lotność pióra. Oto naprzykład gieograficzno-kulturalna charakterystyka Turcji w niewielu wierszach:

„Turcja dzisiejsza zajmuje małą resztę dawnego państwa. Jakkolwiek tylko zachodnia połowa kraju jest górzysta, skalista i przeważnie jałowa, we wschodniej zaś mieszczą się najżyzniejsze obszary, przedstawia cały kraj obraz najstraszniejszego opustoszenia. Nikczemna administracja urzędników, żyjących ze zdzierstwa („bakszysz“), a do najwyższego stopnia rozbudzone namiętności plemienne i wyznaniowe sprawiają, że nikt nie jest swego mienia i plonu swej pracy pewny—żyje więc z dnia na dzień.“

Książka Sujkowskiego ma widocznie daleko wyższe

przeznaczenie—zapewne dla szkół handlowych. Wyszła dopiero jej część pierwsza, w której autor na 140 stronicach większego formatu wykłada systematycznie i gruntownie olbrzymi materjał gieografji ekonomicznej; mamy tu następujące rozdziały: wytwórczość roślinna, wytwórczość zwierzęca, wytwórczość kopalniana, drogi, wreszcie — rozwój gospodarczy kraju, jako współrzędna jego stanowiska kulturalnego.

Gruntowna wiedza ekonomiczno-gieograficzna, takt pedagogiczny, wyborne władanie metodą gieograficzną i rozległe znawstwo źródeł, podawanych przy końcu każdego rozdziału, składają się tu na znakomitą całość. Zrozumienie i spożytkowanie tekstu ułatwiają liczne mapki, djagramy i tablice.

Jak wyborną jest gieograficzna analiza zjawisk gospodarczych, możemy się przekonać z następującego wyjątku, omawiającego ogólne warunki hodowli:

„W krajach europejskich można dość łatwo odnaleźć zależność hodowli zwierząt od warunków klimatycznych, bezpośrednio działających, a jeszcze bardziej od uprawy pewnych roślin, od obfitości lasów i pastwisk. Do pewnego stopnia mamy to samo prawie i w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Inaczej się rzecz przedstawia w obszarach pozazwrotnikowych trzech lądów półkuli południowej, gdyż w tych krajach świeżej a wielkiej kolonizacji stosunki nie układają się tak prosto i czynniki społeczno-dziejowe maskują czynniki przyrodniczo-gieograficzne. Koza i osioł z mułem mają doskonałe dla siebie warunki i w Ameryce Południowej i w Australji, tymczasem w pierwszym obszarze są one rozpowszechnione przez pierwszych osadników, Hiszpanów, którzy z niemi zżyli się w swej pierwotnej ojczyźnie, a do Australji nie przewieźli ich osadnicy, Anglicy, nie znający ich prawie w swej ojczyźnie. Chociaż tam

możliwa jest wielka uprawa kukurydzy, jednak przez rzadkie zaludnienie rolnictwo wogóle w strefie kukurydzy, ledwie zaczyna stawiać pierwsze kroki i niema też tam znaczniejszej hodowli świń. Wszędzie tam jednak istnieją dobre warunki dla owczarstwa (wielkie naturalne pastwiska), z wyjątkiem okolic, gdzie gorąco łączy się z wielkiemi deszczami. Owczarstwo do pewnego stopnia stoi w przeciwieństwie do hodowli świń: jeżeli pierwsze opiera się na wielkich obszarach trawiastych, to druga musi znajdować dla siebie albo uprawę zbóż, albo roślin okopowych, albo odpadki gospodarstwa mlecznego i wogóle—pożywienie, łatwo psujące się. Jak owca unika krajów zwrotnikowych, tak świnia unika dalekiej północy i okolic stepowych, nie z powodu zimna, lecz z braku pożywienia. Przy bardzo nakładowej postaci rolnictwa w strefach leśnych odpowiedniejszą od owczarstwa wydaje się hodowla świń."

Czekamy z niecierpliwością na ukazanie się drugiej (szczegółowej) części tego cennego dzieła.

Wacław Nałkowski.

A. W. Gould. Dzieci matki przyrody. Pogadanki o życiu zwierząt i roślin, ze słowem wstępnym W. Jezierskiego. Przekład z angielskiego E. Landowskiej. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Literaturze dziecięcej przybyła książeczka, którą mali czytelnicy pochłaniać będą z rozkoszą. Odkrywa ona przed ich oczami ogromne bogactwo życiowych zjawisk w otaczającej ich przyrodzie, budzi obok zainteresowania umysłowego nastrój uczuciowy—miłość bliźniego, obejmującą ogół tworów żyjących. Autor posługuje się specjalną właściwą sobie metodą dla obudzenia tego potrójnego zainteresowania. W myśl za-

sady: „od znanego do nieznanego“ punktem wyjścia każdej jego pogadanki jest jakieś zjawisko, wybrane z ludzkiego otoczenia dziecka, dla którego odkrywa następnie różnorodne analogje w przyrodzie. Obrazek matki, czuwającej nad kołyską niemowlęcia, jest wstępem do pogadanki. „Jak ptaszki pielęgnują swe dziatki“ po której następuje cały szereg obrazów życia rodzinnego zwierząt i ich troskliwości o potomstwo, wreszcie i analogicznych stosunków w życiu roślin. Odżywianie i karmienie jest tematem dalszych pogadanek, prowadzonych tąż samą metodą. Później dowiadują się dzieci, jak matka przyroda odziewa swoje twory, jak w nich rozwija zdolność do rozmaitych ruchów i zaopatruje w odpowiednie do nich narządy. Po tych obrazkach z życia osobniczego przechodzi autor do pierwszych zawiązków życia społecznego, charakteryzując wzajemną pomoc u istot żyjących, począwszy od najniższych, kończąc na człowieku. Gromadzenie zapasów na zimę, stanowiące pierwotną formę zabiegów gospodarczych, również dostarcza treści do bardzo zajmujących pogadanek. Dalszym etapem tych zabiegów jest eksploatowanie na swoją korzyść cudzej siły, cudzego pokarmu, cudzej odzieży. Tu naturalnie człowiek, pan stworzenia, góruje nad przyrodą, jakkolwiek śród niej znajduje swe pierwowzory. Tutaj także kończy się wszechgatunkowe braterstwo, czego zresztą autor bynajmniej nie podkreśla, nie chcąc mącić uroczej sielanki życia „dziatwy przyrody“ ponurym obrazem tragicznej walki o byt.

Na śliczny, pełen łagodnej melancholji i trochę mistycznego nastroju, finał składają się trzy pogadanki o śnie nocnym, śnie zimowym i śnie wiecznym— czyli śmierci. Matka przyroda „nie każe pracować wiecznie bez końca swym dzieciom. Jednym daje odpoczynek w nocy, innym przez całą zimę, a stworze-

niom znużonym, spracowanym, wyczerpanym życiem, udziela snu dłuższego jeszcze, takiego właśnie, jak pragną na wieki“. Podział życia owadów na dwa odrębne, przedzielane długim snem istnienia, służy autorowi do zobrazowania wiary w nieśmiertelność, w dalsze, doskonalsze przeobrażenie istot żyjących i człowieka. „Niema śmierci! To, co się nią wydaje, jest tylko przemianą“ — temi słowy Longfellowa kończy Gould swe pełne poetycznego wdzięku, a także i naukowej wartości, pogadanki.

Myśl przewodnia książeczki jest przedewszystkim etyczna. Chciał „wykazać dziecku miłość i zapobiegliwość przyrody“, a w przedmowie zaznaczał: „Powinniśmy pamiętać, że nie o zewnętrzną stronę przyrody nam tu idzie, że zewnętrzny kształt winien nam posłużyć do wniknięcia w ducha, który go ożywia.“ „Duch“ ten ożywia nietyle przyrodę, ile autora i jego książkę. Jestto duch miłości, ogarniającej wszystkie żyjące twory, współczującej wszystkim potrzebom i cierpieniom, błogosławiącej wszelkiej pracy, tęskniącej do coraz wyższych, doskonalszych form życia. Może bardziej krytycznie usposobieni czytelnicy szybko przestaną patrzeć na przyrodę oczami Goulda i tylko na krótko przejmą się jego optymistycznym idealizmem. Póki jednak wraz z nim zwiedzają mrowiska i gniazda ptasie, mieszkania bobrów i siedziby łosi — nietylko mile spędzają czas, nietylko wielu rzeczy się uczą, ale przebywają w dobrym towarzystwie.

I. Moszczeńska.

Stanisław Thomas. Język ojczysty. Książka do czytania. Rok drugi nauki. Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie 1908.

Jedna więcej książka dla bibljografji, lecz nie dla

literatury pedagogicznej. Zbiorek urywków do czytania w 2-gim roku nauki, ustopniowanych nieźle według trudności treści i formy; gdzie obok rzeczy małej wartości literackiej znajdą się i ładne, zajmujące powiastki i wierszyki; ale zarazem zbiorek, w którym nic, absolutnie nic niema oryginalnego, nic, coby było własnym pomysłem autora: ani w wyborze treści, ani w jej układzie nie widać żadnych usiłowań, żadnych prób (choćby błędnych i chybionych) stworzenia czegoś nowego, czegośmy nie spotykali w wielu innych książeczkach dawniej wydanych, nie mówiąc już o pomieszczonych wyjątkach, które również tak dobrze nam są znane. Aż przykro pisać o takich książkach, choć niewątpliwie w pewnych wypadkach mogą być pożyteczne! Jedyną ich zaletą w braku oryginalności powinna być *poprawność* pedagogiczna i językowa. Przeciwko tej poprawności znajdujemy w książeczce p. Thomasa rzadkie wprawdzie, ale niewątpliwe wykroczenia np. w wierszyku *Skargi zajączka* zwrot niepolski: *cóż ja za to mogę*? (str. 5) prawdopodobnie ma to znaczyć: czy to moja wina?) gdzieindziej w tytule zagadki: *co jestem* (str. 26) zamiast: czym jestem?) W czasach zwrotu ku wychowaniu estetycznemu, gdy wszyscy pedagodzy domagają się, aby wierszyki dla dzieci posiadały wartość artystyczną, a wymaganiu temu pedagog polski łatwo może uczynić zadość, dzięki pięknym utworom dla dzieci Konopnickiej, Or-Ota, Bożydara, a w ostatnich czasach młodszych talentów: Bronisławy Ostrowskiej, Tadeusza Pudłowskiego, Leona Rygiera; p. Thomas nie waha się w swej książeczce dawać tak częstochowskich rymów, jak *Posłuszny słonik*, gdzie czytamy:

Niemasz tak wielkiej w świecie urody,
Coby się mogła obejść bez wody.

Czystość każdemu wdzięku dodaje,
Przez nią się szpetny ładniejszym staje,
A ładny bierze korzyść dwoistą,
Zwłaszcza gdy przytym ma duszę czystą i t. d.

Wreszcie w czasach, gdy domagamy się, aby dzieciom już w szkole elementarnej wyjaśniano, kto jest autorem czytanych przez nie utworów, p. Thomas ani w tekście, ani w spisie rzeczy nie dał żadnego podpisu, choć wiemy, że czerpał z różnych źródeł. Takie opuszczanie nazwisk, bardzo zresztą rozpowszechnione w naszych czytankach, jest niewątpliwą krzywdą i niesprawiedliwością, którą niestety! z czystym sumieniem wyrządza się zmarłym i żyjącym autorom dla dzieci. Jeśli ktoś później, układając Wypisy, zechce być sumiennym, nie może nieraz odszukać właściwego nazwiska autora bardzo znanych powiastek czy wierszyków, a kto chciałby napisać studjum pedagogiczno-literackie o naszej literaturze dla młodzieży lub o czytankach, nieraz byłby w kłopocie przy określaniu, kto od kogo korzystał, ba! nawet przy wyjaśnianiu, co w naszej literaturze dla dzieci jest oryginalnym pomysłem polskim, a co zostało przetłumaczone lub przerobione z obcych języków. A szkoda! bo jawność w tym względzie nauczyłaby nas przedewszystkim liczyć się z pracą naszych poprzedników, co jest pierwszym warunkiem normalnego rozwoju w każdej gałęzi wiedzy lub sztuki, a następnie pobudziłaby naszą ambicję, ażeby w każdej nowej książce podnieść się o stopień wyżej nad dorobek dotychczasowy, co jest drugim warunkiem ciągłego postępu w dziedzinie praktycznej pedagogiki.

Aniela Szycówna.

Książki, nadesłane do Redakcji.

Remigjusz Kwiatkowski. Literatura egipska. Wyd. Arcta. Cena 15 kop.

A. Lange. Krótki rys literatury powszechnej. Wydaw. Arcta. Część I. Literatura starożytna i średniowieczna.

Ignacy Chrzanowski. Wielka reforma szkolna Konarskiego. M. Arct. Warsz., 1908 r. Cena 10 kop.

Dr. Józef Zawadzki. Jak mieszkać powinniśmy? M. Arct. Warsz., 1908. Cena 6 kop.

H. Irving Hanecock. Japoński system trenowania ciała dla kobiet. M. Arct. Warsz. Cena 35 kop.

G. Tschirn. Moralność bez Boga. Nakł. A. Straucha. Łódź, 1908. Cena 25 kop.

Czesław Wrocki. W Imię Krzyża. Krótki zarys dziejów inkwizycji powszechnej. Kraków 1908.

Marja Dzierżanowska. Skrót dziejów państwa polskiego do użytku szkolnego, opracowała... Warsz. J. Fiszer 1908.

Dr. Fr. A. Steinhausen, tłum **Robert Becker**. O błędach fizjologicznych techniki fortepianowej i jej przekształceniu. Warsz. Nakład tłumacza 1908.

A. Leśniewska. Nowa dziedzina pracy kobiet. Bibljoteka równouprawnienia kobiet. Skł. gł. Red. „Steru."

Marja Dulębianka. Polityczne stanowisko kobiety. Bibljoteka równouprawnienia kobiet.

E. Waliszewski. Gramatyka języka niemieckiego. Warsz. Nakł. J. Fiszera.

Ignacy Chrzanowski. Historja literatury polskiej. Książka dla młodzieży z wypisami. Warsz. Gebethner i Wolff. 1908.

Poradnik dla Samouków. Część V. Świat i Człowiek. Zeszyt I z 82 ilustracjami i 3 tabl. kolorowanemi. Wydawnictwo A. Heflicha i S. Michalskiego. Księg. Nauk. Warszawa, 1908.

XL Sprawozdanie czytelni Akademickiej we Lwowie za rok administracyjny 1906/7. Lwów. Nakład Towarzystwa.

Konrad Chmielewski. Obraz ziem polskich. Nakład Arcta. Warszawa 1908.

M. G. Przymierze Tomcia ze zwierzętami. Przekład z angielskiego. Warszawa, 1907.

M. G. Burek i jego przyjaciele. Przekład z angielskiego. Warszawa, 1908.

M. G. Nasi przyjaciele. Warszawa, 1906.

Marshall Saunders. Piękny Bil. (Historja prawdziwa uczciwego psa). Przekład z angielskiego. Warszawa, 1906.

Władysław Umiński. Co człowiek zawdzięcza zwierzętom? Odczyt popularny. Wydanie 2. Warszawa, 1907.

Dr. Antoni Barański. Konie gospodarskie, ich wychów i utrzymanie. Wydanie 2.

M. G. Pomocnicy człowieka. Przekład z angielskiego. Warszawa, 1907.

Adolf Dygasiński. Przyjaciel koni. Powiastka. Wydanie 2. Warszawa, 1903.

Władysław Umiński. Zwierzęta ginące i zaginione. Odczyt pop. Wydanie 3. Warszawa, 1906.

Z życia ludzi i zwierząt. 2 zbiorki. Wydanie 2. Warszawa, 1906 i 1907.

M. G. Wędrówki wiernego. Podług oryg. ang. Warszawa. 1908.

M. G. Historja panny Żabci. Przekład z angielskiego. Warszawa, 1908.

Pamiętnik konia. Wydanie drugie. Skład głów. „Księgarnia Polska.“ Warszawa, 1907.

M. Brzeziński. Rośliny, zwierzęta i ludzie na kuli ziemskiej. Wydaw. Imienia Staszyca. Wydanie 2. Warszawa, 1907.

M. Brzeziński. Owady i ich znaczenie w gospodarstwie. Wydaw. Im. Staszyca. Warszawa, 1906.

M. Brzeziński. Nasi wrogowie i przyjaciele wśród ptaków. Wyd. 3. Warszawa, 1906.

M. Brzeziński. Najciekawsze i najważniejsze zwierzęta ssące, ich życie i obyczaje. Wyd. 2. Warszawa, 1906.

B. Dyakowski. Zwierzęta lądowe i morskie w różnych częściach świata. Warszawa, 1907.

B. Dyakowski. Jak urządzać gniazda i opiekować się ptakami? Warszawa, 1901.

Michalina Stefanowska. Miłość macierzyńska w świecie zwierzęcym. Warszawa, 1902.

Wł. Umiński. Zwierzęta przedpotopowe. Odczyt popul. Warszawa, 1900.

Wł. Umiński. Podziemne mieszkania zwierząt. Pogad. naukowe. Warszawa, 1904.

M. Ernst. Kosmografja. Podręcznik dla szkół średnich. Warsz. 1908. Skład główny Wende i S-ka.

Wiadomości bibljograficzne.

— W Krakowie utworzyło się Towarzystwo wydawnicze, które z inicjatywy pp. Zygmunta Herynga, Aleksandra Hefflicha, Romualda Minkiewicza i Feliksa Kona przystąpiło do wydawania *Encyklopedji ludowej*. Program tego wydawnictwa wyjaśnia broszura wstępna Zygmunta Herynga p. t. *Jaką być winna En-*

cyklopedja ludowa? Encyklopedja ludowa nie będzie zbiorem artykułów informacyjnych, ułożonych w porządku alfabetycznym, lecz składać się będzie z szeregu broszur, z których każda, stanowiąc pewną całość, da zwięzły lecz dokładny i prawdziwy zarys wiedzy z pewnej dziedziny; cała zaś treść zgrupowaną będzie według działów, których autor wyróżnia trzynaście. Encyklopedja ogranicza się do kilkudziesięciu artykułów zasadniczych, ale poda dokładne wskazówki bibljograficzne dla pragnących poznać bliżej przedmiot. Wszystkie artykuły pisane będą objektywnie: każdy autor w sprawach spornych poda istniejące opinje, jakkolwiek bynajmniej ukrywać nie będzie, ku której przychyla się stronie. Pożyteczne to wydawnictwo nie ma funduszu żelaznego, lecz przyszłość swą poza prenumeratą (1 r. 80 k. za osiem broszur po $2^1/_2$ arkusza) opiera na drobnych udziałach po 10 rubli, których nie poskąpią chyba ludzie, pragnący istotnego światła dla swego społeczeństwa. Z tą nadzieją polecamy naszym czytelnikom rozpatrzenie się w broszurze Zygmunta Herynga, stanowiącej rodzaj prospektu. Przedpłatę na Encyklopedję ludową przyjmuje Księgarnia Ludowa K. Wojnara w Krakowie (Szeroka 15) i Księgarnia Naukowa w Warszawie (Krucza 44).

— *Sprawy Szkolne* w zeszycie podwójnym, mieszczącym numer 3 i 4-ty, pomieściły na wstępie artykuł K. Czerwińskiego p. t. *Projekt Muzeum przyrodniczo-pedagogicznego*, gdzie autor podaje opracowany już program tej doniosłej dla podniesienia szkolnictwa instytucji. Do projektu tego wrócimy jeszcze w przyszłości, tymczasem polecamy uwadze naszych czytelników artykuł informacyjny, który naszym zdaniem powinienby wyjść w oddzielnej odbitce dla większego rozpowszechnienia.

— *Polskie Towarzystwo badań nad dziećmi* postano-

wiło wydawać swym nakładem *Bibljotekę psychologji dziecięcej*, mieszczącą w pierwszym rzędzie studja oryginalne polskie, następnie zaś przekłady lepszych dzieł obcych. Pierwszą broszurę tej bibljoteki stanowi praca p. Rzętkowskiej p. t. Przyczynek do badań nad mową dziecka, drukowana poprzednio w „Nowych Torach.“

— Znakomita nasza rodaczka, Józefa Jotejko, kierowniczka laboratorjum psychologicznego przy uniwersytecie w Brukseli, zaczęła wydawać specjalny kwartalnik p. t. *Revue psychologiqae*. Pismo to mieści wiele materjału z dziedziny psychologji wychowawczej po większej części pióra samej redaktorki, oraz Schuyten'a, znanego kierownika laboratorjum psychologicznego w Antwerpji.

— Otrzymaliśmy pierwszy numer *Pobudki*, czasopisma młodzieży polskiej, wychodzącego w Wilnie.

Znajdujemy tu szereg bezpretensjonalnych artykułów, pisanych przez młodocianych autorów dla podniesienia umysłowego i etycznego poziomu kolegów i koleżanek, oraz szereg korespondencji zarówno z miast litewskich, jak z Warszawy, Krakowa, Lwowa, omawiających sprawy młodzieży. Ogólnym charakterem i nastrojem *Pobudka* zbliża się najbardziej do *Teki*, wychodzącej we Lwowie.

Sprawozdanie finansowe „Nowych Torów“
z r. 1906 i 1907.

Przychód.

Z prenumeraty za rok 1906 . .	Rb.	1810	kop.	79
Z prenumeraty za rok 1907 . .	„	2472	„	18½
Ze sprzedaży pojedyńczych numerów, odbitek i za ogłoszenia wpłynęło ogółem w roku 1906 i 1907	„	537	„	83½
Zapomoga od grona przyjaciół „Nowych Torów“ w r. 1907 .	„	1145	„	—
Razem	Rb.	5965	kop.	81

Rozchód.

Druk 10 numerów, papier, broszurowanie, odbitki i kwestjonarjusze w r. 1906	Rb.	1808	kop.	83
To samo w roku 1907	„	1824	„	38
Administracja, poczta, reklama w roku 1906	„	512	„	54
To samo w roku 1907	„	593	„	18
Sekretarz w roku 1907	„	225	„	—
Wypłacone honorarja za rok 1906	„	701	„	95
Wypłacone honorarja za rok 1907	„	784	„	60
Książki i pisma	„	100	„	—
Razem	Rb.	6550	kop.	48

Porównanie.

Rozchód	Rb.	6550	kop.	48
Przychód	„	5965	„	81
Deficyt	Rb.	584	kop.	67

Pokrywając osobiście ten deficyt, oddałem nowej administracji pismo wolne od zobowiązań materjalnych. Tym, którzy czy to zasiłkiem pieniężnym, czy bezinteresownym współpracownictwem dopomogli do utrzymania „Nowych Torów“ w pierwszych latach ich istnienia, składam gorące podziękowanie.

Stanisław Kalinowski.

KRONIKA.

Egzaminy w teorji i praktyce.

O egzaminach napisano już tak wiele ze stanowiska hygjenicznego, psychologicznego i pedagogicznego, że ta sprawa zdaje się już zupełnie przesądzona, a przecież zawsze jest ona aktualną ze względu na panujący dotąd rozłam między teorją a praktyką. W kwietniowym zeszycie *Neue Bahnen*, dyrektor Patzig, występując przeciw egzaminom publicznym, dochodzi do następujących wniosków: 1) Wobec dzisiejszego przygotowania i stanowiska nauczyciela, egzaminy, jako kontrola jego pracy, są zbyteczne. 2) Ponieważ z konieczności egzaminy muszą się ograniczyć do „rezultatów pozytywnych", gdy najgłębszy i najważniejszy wpływ wychowawczy nie da się zbadać, pobudzają one do nabycia wiedzy pozornej, powierzchownej, zwracają nauczanie na fałszywą drogę, a stąd działają wprost szkodliwie, nie osiągając właściwego celu. 3) Egzaminy są niezgodne z prawami życia psychicznego; powstrzymują bowiem prawidłowy bieg wyobrażeń, wywołując niekorzystne stany uczuciowe. 4) Egzaminy przeszkadzają wytworzeniu się szerszego interesu dla nauki, sprzyjają powierzchowności, dają rezultat zawodny co do trwałości nabytej wiedzy, a w niektórych uczniach rozwijają zarozumiałość i próżność

5) Egzaminy nie dają jasno poznać dydaktycznej i wychowawczej pracy nauczyciela i prowadzą do fałszywej oceny zarówno ucznia jak wychowawcy. 6) Egzaminy zabierają szkole wiele drogiego czasu, którego możnaby użyć pożyteczniej, prowadzą do przeciążenia uczniów i są cierpiane tylko dzięki obojętności nauczycieli, rodziców i gmin szkolnych.—Tak mówi teorja, którą możnaby jeszcze potwierdzić przez liczne badania nad stanem zdrowia uczniów i nad wartością ich odpowiedzi, dawanych podczas egzaminów. A cóż na to prawodawcy szkolni? I oni nie wszędzie są obojętni. Przed kilku miesiącami, bo w styczniu r. b., odbyła się w Wiedniu ankieta w sprawie reformy szkolnej w Austrji. Na jednym z posiedzeń poddano krytyce nietylko egzaminy przejściowe, lecz i ostatni egzamin dojrzałości; wymiana zdań była bardzo żywa, a przy głosowaniu okazało się, że za utrzymaniem matury było tylko 12 głosów, a za jej zniesieniem 16 — w pierwszej grupie znaleźli się prawie sami inspektorowie szkolni, gdy w drugiej profesorowie, którzy przez długie lata obserwowali wychodzących z pod ich rąk maturzystów. Ta opinja ludzi poważnych, wezwanych ze wszystkich krajów Austrji, wpłynęła na postanowienia rządowe. Sprawy wprawdzie nie załatwiono tak radykalnie, jakby pragnęli jej obrońcy, ale uczyniono ich żądaniom wielkie ustępstwa. Nowe przepisy o egzaminach, ważne już w bieżącym roku szkolnym, ograniczają egzamin ustny do pięciu przedmiotów, a mianowicie: łaciny lub greki, języka wykładowego, gieografji, historji i matematyki; w szkołach realnych zaś egzamin obejmuje: jeden język, gieografję i historję, matematykę i fizykę. Z egzaminu piśmiennego usunięto w gimnazjum tłumaczenie z języka ojczystego na obcy i zadanie matematyczne; pozostawiono tylko tłumaczanie z języka obcego (łacina,

francuski) na ojczysty, dozwalając przy nim używać słownika. W szkołach realnych pozostawiono egzamin piśmienny z matematyki, ale wyłączono z niego zadania, wymagające pamiętania wielu szczegółów i formuł. Na świadectwach nie będzie stopni z poszczególnych przedmiotów, tylko ogólne orzeczenie komisji egzaminującej. Jestto ogromny wyłom w silnym dotąd murze rutyny, którym szkoła oddzielała się od nowoczesnych prądów pedagogicznych, rozbijających się o nią, jak o skałę. A u nas?... Świeżo wyszło rozporządzenie, przywracające w całym państwie w szkołach rządowych i prywatnych z prawami egzaminy przejściowe; inne rozporządzenie opiewa, że wychowańcy szkół prywatnych bez praw mogą zdawać egzamin dojrzałości tylko w tym okręgu naukowym, w którym mieszkają: a niektóre pensje żeńskie prywatne otrzymały od inspekcji okólnik z żądaniem programu egzaminów.

Zagonki dla dzieci.

Od roku 1905 staraniem Komisji przy Towarzystwie Ogrodniczym Warsz. urządzane bywają corocznie ogrody z zagonkami dla dzieci w wieku od lat 7-miu do 15-tu. Za opłatę, uprzystępnioną dla najuboższych, dziecko otrzymuje w posiadanie przez czas pięciu miesięcy letnich zagon wielkości 24 łok. kw., nasiona, flance warzywne i kwiatowe, używalność narzędzi, pomoc i opiekę w czasie zajęć, które się odbywają codziennie prócz świąt od godziny $4^1/_2$ do $7^1/_2$ po południu.

Praca fizyczna na świeżym powietrzu daje dziecku zdrowie; zaznajamianie go z przyrodą, budzi w jego duszy umiłowanie i poszanowanie jej tworów. Komisji z pomocą przychodzą osoby, które bezin-

teresownie oddają na czas zajęć ogrody i place członkowie Tow. Ogrodn. Warsz., zaopatrujący dziatwę w nasiona i rośliny, osoby dobrej woli, które przez pogadanki sieją między dziatwą ziarna wiedzy, kursistki i kursiści Muzeum Pszczelniczego, udzielający dziatwie pomocy w zajęciach. Materjalne wydatki na narzędzia: uprawę i t. d. pokrywają: opłata za zagonki i drobne ofiary.

W roku bież. ogrody urządzane są po raz czwarty. W pierwszym roku ich istnienia 1905 zapisało się dzieci 120, w ubiegłym 1907 liczba ich doszła do 477, w bieżącym prawdopodobnie obdzieli się zagonkami 600 dzieci. Takie powiększanie się liczby dziatwy, pracującej na zagonkach, świadczy najlepiej, że urządzenie ich odpowiada potrzebie społeczeństwa. Adresy ogrodów, w których odbywają się zajęcia: Aleja Ujazdowska, wejście przy Koszykowej Nr. 4. Aleja Jerozolimska róg Teodora. Polna 34.

Wystawy o charakterze pedagogicznym.

Wiosna rozbudziła u nas ogólny ruch w kierunku urządzania i projektowania wystaw, które spróbujemy tu wymienić chronologicznie. Podczas ferji wielkanocnych gimnazjum polskie w Płocku urządziło wystawę, zaznajamiającą szerszą publiczność z pracą nauczycieli i uczniów tej szkoły; zgromadzono tam zatym pomoce naukowe, rysunki, wypracowania, wyroby slöjdowe, wykonane przez uczniów, oraz dane statystyczne o szkole. W tymże czasie w gimnazjum polskim p. Kuropatwińskiego w Częstochowie odbył się pokaz prac uczniów z zakresu rysunków i modelowania, których nauka w szkole tej stoi wysoko. W Warszawie w d. 6, 7 i 8 maja tłumnie zwiedzano ciekawą wystawę wycieczkową, urządzoną przez To-

warzystwo Krajoznawcze, dającą nietylko wiele ciekawego materjału folklorystycznego, lecz przedewszystkim zachętę do wycieczek i poznawania własnego kraju; młodzież zwłaszcza, zwiedzająca ją tłumnie, odniosła korzyść niemałą. Równej korzyści spodziewamy się po wystawie Tow. Miłośników przyrody, o której pisaliśmy w numerze poprzednim. Na jesień projektują się dwie wystawy o charakterze szerszym, poważniejszym. Jedna to *Wystawa hygjeniczna w Lublinie*, urządzona z inicjatywy Oddziału Lubelskiego Towarzystwa Hygjenicznego. Obejmuje ona wszystko to, co ma związek ze zdrowotnością, a dwa pierwsze działy obszernego programu: *Hygjena dziecka* i *Hygjena pedagogiczno-wychowawcza* winnyby szczególniej zainteresować wychowawców. Z wystawą będzie połączony zjazd hygjeniczny, na którym będą wygłaszane odczyty i referaty ze wszystkich dziedzin nauki o zdrowiu. Wystawa ta i zjazd mają na celu upamiętnienie 10-lecia Towarzystwa Hygjenicznego, które powstało w r. 1898 t. j. w czasach, gdy trudno było u nas o zatwierdzenie jakiegokolwiek towarzystwa, choćby o charakterze naukowym. Sekcja wychowawcza tego towarzystwa była przez lat kilka jedynym terenem, gdzie można było publicznie rozstrząsać sprawy wychowania młodzieży; przegląd działalności tej sekcji w ciągu lat 10-ciu będzie dla nas pedagogów bardzo miły i pouczający, bo odsłoni nam przedostatnią kartę w dziejach naszej pracy na polu wychowania. W sierpniu też W*ileńskie Towarzystwo Opieki nad dziećmi* urządza w Wilnie wystawę pod nazwą *Dziecko*, uwzględniając na niej zarówno wychowanie fizyczne, jak moralne, umysłowe, estetyczne i techniczne. Bogaty program podzielono na kilka działów według okresów dzieciństwa, więc: I *Dziecko do lat 4-ch*; *II. Dziecko lat 4—9; III. Dziecko lat 9—14*; *IV. Instytucje*

dobroczynne. Podczas wystawy będą urządzane pogadanki i odczyty treści pedagogicznej.

Zamknięcie szkół polskich w gubernji Kieleckiej.

Szkolnictwo nasze nowy cios poniosło. Z rozporządzenia władzy w gubernji Kieleckiej zamknięto wszystkie szkoły z wykładowym językiem polskim w ilości 40. Według obliczenia ilości klas i uczniów okazuje się, że przeszło 3000 dzieci polskich pozbawiono nauki w języku ojczystym. Wobec takich faktów trudno nawet o jakiekolwiek komentarze; stajemy tylko w osłupieniu i powtarzamy litanję: Macierz, Oświata w Wilnie, szkoły w Kielcach, uniwersytet ludowy w Radomiu... Ale trzeba naprzód iść i... świecić.

Szkoła w lesie pod Londynem.

Dwa lata temu „Nowe Tory" zamieściły wzmiankę o szkole w lesie, założonej dla słabowitych dzieci pod Berlinem. [1]) W r. 1907 d. 22 lipca otwarto takąż szkołę pod Londynem. Szkoła ta, funkcjonująca całe lato (do 12 października) liczyła 100 uczniów słabych fizycznie, przeważnie anemicznych. Przyjeżdżali oni codziennie o 9-ej rano z Londynu koleją do stacji Abbey-Woods—stamtąd szli dziesięć minut pieszo do szkoły. Po przybyciu zasiadali do śniadania, pijąc gorące mleko podczas pogody w cieniu drzew, podczas deszczu—w osłoniętym namiocie. Od 10-ej do 1-ej były lekcje; dzieci, podzielone na cztery klasy, według swego przygotowania, uczyły się po większej części również na świeżym powietrzu. Nauka obejmowała: zadania arytmetyczne przeważnie ustne, ćwiczenia w mierzeniu, wypracowania piśmienne, kreślone naj-

---

[1]) O szkole tej mówił dr. Rose na posiedzeniu Tow. Hyg. w d. 6 maja r. b.

częściej ołówkiem, pogadanki przyrodnicze, dotyczące przeważnie roślin leśnych, zbieranie tych roślin w ogrodzie i lesie, rysunek okazów zebranych, a uzupełniały ją zajęcia ogrodnicze, modelowanie, koszykarstwo, szycie, gimnastyka szwedzka, tańce i dwie lekcje śpiewu na tydzień. Kar nie wymierzano żadnych w tej szkole, a raczej w tym obozie, jak zwykle mówiły dzieci. O 1-ej podawano im obiad; pożywienie zdrowe i dość obfite. Po obiedzie odpoczynek, dzieciom bardzo słabym pozwalano poleżeć, a nawet trochę się przespać. Od 3-ej do $4^3/_4$ znów praca, o 5-ej podwieczorek, najczęściej mleko gorące, a od czasu do czasu kakao. Po podwieczorku odmawiano modlitwę, lub czytano jakiś wyjątek z biblji, następnie udzielono dzieciom pewnych wskazówek hygjenicznych np. aby myły zęby, aby spały przy otwartym oknie, wreszcie rozdawano im bilety kolejowe do Londynu. Na wieczór dzieci ze swego obozu wracały do domu. Szkoła utrzymywała się z funduszów publicznych; założona staraniem t. zw. *County council* (rada hrabstwa); miała przełożoną, dwuch nauczycieli i dwie nauczycielki, każda z tych osób prowadziła swoją klasę, złożoną z dzieci obojej płci, wreszcie t. zw. *nurse*, t. j. wychowawczynię wykwalifikowaną we względzie wychowania fizycznego—odwiedzali ją lekarze, czuwając nad zdrowiem dzieci i hygienicznym trybem ich życia.

Z naszych stowarzyszeń pedagogiczno-oświatowych.

Polski Związek Nauczycielski.

Zarząd Główny Związku odbył w kwietniu 2 posiedzenia łącznie z Zarządem Oddziału Warszawskiego. Oprócz zwykłych spraw organizacyjnych postanowiono:

1) Połączyć Zarządy Główny i Oddziału Warszawskiego i posiedzenia odbywać wspólnie.

2) Doprowadzić w najprędszym czasie do końca druk książki, dotyczącej nauczania języka polskiego a wydawanej nakładem Związku.

3) Przyłączyć się do organizatorów wykładów wakacyjnych dla nauczycieli elementarnych w Nałęczowie i skierować na nie członków Związku, w Warszawie zaś wykładów w r. b. nie urządzać.

4) Oprócz tego Zarząd rozpatrzył 2 zatargi: 1) nauczyciela z przełożoną zakładu naukowego i 2) nauczyciela z osobą prywatną.

Bibljoteka Związku liczy obecnie 1155 tomów i roczników pism 25. Redakcja N. T. otrzymuje 48 pism zamiennych, włączanych do bibljoteki i wydawanych do czytania. Ostatnio zaczęły przychodzić Ateneum i Ekonomista. W kwietniu przybyło książek z zakupu 28 tomów, z darów 40 tomów, korzystało z bibljoteki osób 48, wypożyczono tomów 45, numerów pism 185.

Sekcja języka polskiego odbyła jedno posiedzenie, na którym p. Szober przedstawił swój system wykładu gramatyki jęz. polskiego w szkole.

Sekcja gieograficzna odbyła 2 posiedzenia, na których członek Związku, p. Sujkowski referował „O temperaturze wnętrza ziemi“ tudzież przyjęto kwestjonarjusz do nauczycieli i nauczycielek gieografji, naszkicowany przez p. Nałkowską, a uzupełniony przez p. Sosnowskiego.

Inne sekcje i oddziały sprawozdań nie nadesłały.

Uniwersytet dla wszystkich.

W miesiącu marcu i kwietniu wygłoszono następujące odczyty:

Z nauk przyrodniczych:

P. J. Sosnowski: „Drobnowidzowa budowa organizmów“ (Filh.) i „Co to jest komórka“; p. J. Lesiński: „Ziemia i organizmy“, „Dzieje ziemi“ (dwukrotnie), „Dzieje życia na ziemi“ (dwukrotnie), „Epoka lodowca“, dr. W. Pawlikowski: „Układ naczyniowy“ (2 kurs), dr. A. Goldsobel: „Budowa materji“, „Woda i rozkład jej“, „O powietrzu i jego składzie“, „Ogień, wyjaśnienie fizyczne i chemiczne“, p. J. Girtler: „Czym jest ciepło“, „Ruch mechaniczny a ciepło“, „Czym jest dźwięk“, „Światło jako postać energji“, p. A. Czartkowski: „Rozwój państwa zwierzęcego“, p. G. Tołwiński; „O ziemi, jako ciele niebieskim“, „O czasie i kalendarzu“. Wszystkie wykłady powyższe ilustrowane były obrazami niknącemi, bądź doświadczeniami.

Z nauk społeczno-ekonomicznych:

P. L. Krzywicki: „Podbój przyrody przez doskonalenie techniki“, „Praca mężczyzn i kobiet“ (trzy wykłady), „Jak człowiek nauczył się pracować“, „Sądy rozjemcze i związki zawodowe.“

Z nauk historycznych:

P. L. Krzywicki: Z mroku wieków średnich: „Wiedźmy i znachory“, „Przesądy“, „Procesy czarownic“, „Tortury“, Epidemje “.

A. Niemojewski: „Zburzenie Jerozolimy przez Tytusa“, M. Rudzińska: „Asyrja“, M. Gomólińska: Przywileje szlachty polskiej z końca XIV i pocz. XV stulecia“, „Przywileje szlacheckie z II-ej połowy w. XV“, „Stanowisko szlachty polskiej w I-ej poł. w. XVI“, „Słowiańszczyzna pierwotna“, B. Hummel: „W klasycznej Helladzie“ (3 wykłady), Leon Belmont: „Polski żyd w XVIII w.“ (Filh.).

Z literatury:

P. L. Ulanowski: „Istota i źródła modernizmu polskiego“ (Filh.), p. W. Makowski: „O Mickiewiczu“.

Nadto wygłosili odczyty p. L. Krzywicki: „Rozwój wiedzy“ i „Rozwój uczuć moralnych.“

Dr. Jerzy Brunner „O suchotach czyli gruźlicy.“

W miesiącu maju oprócz cyklu p. Mahrburga, którego program podaliśmy w poprzednim numerze, zapowiedziano i w części już wygłoszono następujące odczyty:

Z nauk przyrodniczych: J. Sosnowski: „Tworzenie się zarodka, Tkanki zwierzęce, Rozmnażanie się komórki“; dr. Kl. Pawlikowski: „Narządy wydzielcze“, „Narządy rozrodcze“, „Układ nerwowy“; J. Girtler: „Dźwięk jako energja“, „Światło jako energja“, G. Tołwiński: „O słońcu“, „Planety.“

Z nauk społeczno-ekonomicznych:

J. Dmochowski: „Wymiana“, „Pieniądze“, L. Krzywicki: „Kasty i Ghetto“, „Wzrost zamożności“, Trusty i syndykaty“, „Kooperatywy spożywcze“.

Z nauk historycznyoh:

L. Krzywicki: „Początki mowy i pisma“, „Jak człowiek poznawał samego siebie“, Marja Gomólińska: „Ustrój wewnętrzny Rzeczypospolitej szlacheckiej“.

Z literatury:

Leon Belmont: „Marja Konopnicka“, L. Peretz; „O dramacie“.

List otwarty do Redakcji „Nowych Torów.“

W imię słuszności zwracam się z uprzejmą prośbą do Szanownej Redakcji o łaskawe zamieszczenie poniższego listu, napisanego w imieniu Zarządu Szkoły, o której będzie niżej mowa.

List anonimowy, podpisany przez *x*, umieszczony w Nr 4 b. r. „Nowych Torów,“ na temat stosunków, panujących w polskiej 8-mio klasowej szkole „w pewnym mieście prowincjonalnym, któremu niejedną stronicę poświęcił w swoich nieśmiertelnych utworąch Sienkiewicz“ posiada dwie cechy charakterystyczne,

które zdradzają autora i wskazują wyraźnie źródło pochodzenia listu; cechami owego listu są: 1) nieprzyzwoity ton, który da się wytłumaczyć do pewnego stopnia obrażoną miłością własną i urazą osobistą autora do Zarządu Szkoły; 2) szereg insynuacji i tendencyjnie fałszywych zestawień, które ani obrażoną miłością własną, ani urazą osobistą autora tłumaczone być nie mogą.

W mieście owym w r. 1906 przez grono mieszkańców tamtejszych założone zostało prywatne 8 kl. gimnazjum polskie. W roku szkolnym 1907—8 warunki materjalne szkoły uległy znacznemu pogorszeniu; wzrastający wciąż deficyt, pokrywany na razie z kapitału zakładowego szkoły, i brak wszelkiego poparcia ze strony ogółu mieszkańców miasta, zmusiły Zarząd szkoły do zredukowania budżetu na rok szkolny 1908—9 i zaproponowania w grudniu 1907 r. nowych warunków dyrektorowi, które miały obowiązywać go od roku szkolnego 1908 — 9; umowa, zawarta w kwietniu 1907 r., pomiędzy założycielami szkoły a dyrektorem przewidywała możność rozwiązania jej i wymówienia miejsca dyrektorowi od d. 1 sierpnia 1908 r. w razie deficytu, przewyższającego rb. 4000 za odszkodowaniem rb. 1500; gdyby więc Zarząd pragnął „spławić“ dyrektora, nie proponowałby mu zmiany warunków od d. 1 sierpnia 1908 r.; lecz na zasadzie poprzednio zawartej umowy, wymówiłby mu miejsce, powołując się jedynie na to, że deficyt kasy przekroczył sumę rb. 4000. Dyrektor, wchodząc w materjalne położenie szkoły (zaznacza to nawet list anonimowego x!), na propozycję zmiany warunków przystał.

Wzrastająca wciąż niechęć w sferach rządowych do szkół polskich, wzrastający wciąż deficyt szkoły, i wobec tego niepewność dalszych losów uczelni, brak wszelkich stałych zapomóg dla szkoły ze strony instytucji społecznych, zakładów przemysłowych i jednostek, obawa, że w razie wyczerpania kapitału zakładowego szkoły i braku poparcia dalszego ze strony pozostałych założycieli szkoły, Zarząd musiałby pokrywać deficyt z własnych funduszów (Zarząd stanowi 12 osób średnio zamożnych), nie pozwoliły Zarządowi przyjmować zobowiązań względem nau-

czycieli na następny rok szkolny 1908—9 i zawierać z nimi umów dopóty, dopóki koniec roku szkolnego 1907—8 nie wyjaśni sytuacji zarówno pod względem stosunku władz rządowych do szkoły, jak i pod względem materjalnym. Obecnie więc, kiedy jasną stało się rzeczą, że w dotychczasowych warunkach szkoła nadal prowadzona być nie może, gdyż deficyt szkoły w d. 1 maja b. r. wynosił już 7000 rb. i do końca roku szkolnego jeszcze bardziej się zwiększy; Zarząd doszedł do wniosku, że umowę z dyrektorem należy rozwiązać, dać mu odszkodowanie rb. 2000, na przyszłość zaś zawrzeć tylko tego rodzaju umowę, na zasadzie której Zarząd zobowiąże się pokrywać deficyt szkoły jedynie do pewnej ściśle określonej sumy, pozostawiając wszelkie ryzyko prowadzenia szkoły przyszłemu kierownikowi.

Zarząd dąży do utrzymania nadal wszystkich dotychczasowych nauczycieli.

Na wszystkie wymysły i insynuacje, zawarte w liście anonimowego X, Zarząd nie odpowiada, uważając, że podobny list kompromituje jedynie autora.

W zakończeniu listu Zarząd nie może nie wyrazić swego ubolewania, że anonimowy X nadużył dobrej wiary Sz. Redakcji „Nowych Torów“, wystarczy porównać obecny list z listem X i znać nieco stosunki, panujące w opisywanej szkole. Ponieważ autor poprzedniego listu podpisał się „X“, Zarząd podpisuje swój list przez „Y“; dla znających miasto, opiewane w utworach Sienkiewicza, będzie rzeczą nietrudną odnaleźć obie niewiadome. *Y.*

Przypisek Redakcji. Drukując w imię bezstronności list niniejszy, czujemy się w obowiązku zaznaczyć, że autorem głosu, pomieszczonego w numerze 4-ym, nie była osoba, którą Zarząd szkoły—jak łatwo wnieść z jego aluzji—zdaje się o to posądzać. Autor listu sam zapewne odpowie, odsłaniając swe nazwisko. „Nowe Tory“ zaś, nie przesądzając z góry, po czyjej stronie jest słuszność, wyrażają jako organ nauczycieli postępowych swe najgłębsze ubolewanie, że podobne opisanym stosunki mogą panować w szkołach postępowych na prowincji.

Redaktor i Wydawca: *Jan Michalski.*

Czcionkami Drukarni Naukowej, Warszawa, Hoża 60.

Warunki Prenumeraty:

w Warszawie:

rocznie	rubli	5
półrocznie	„	2.50

z przesyłką pocztową:

rocznie	rubli	6
półrocznie	„	3

Cena pojedyńczego numeru kop. 60.

Cena Ogłoszeń:	Stronica	10	rub.
	1/2 str.	5	„
	1/4 str.	3	„

Rocznie ogłoszenia dawane bezpośrednio w Administracji z ustępstwem 10%.

Dołączanie prospektów do pisma według umowy od 2 rb. 50 kop. za każde 100 egzemplarzy.

Adres Redakcji i Administracji:

Warszawa, Wspólna 56 m. 5.

Tel. 118-33.

Redaktor przyjmuje w środy i piątki od 5½ do 6½.
Administracja otwarta w dni powszednie od g. 11 r. do g. 3 pp.